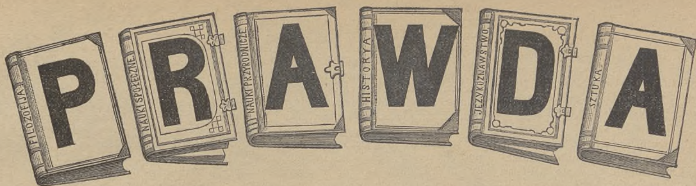
Nr. 43. Warszawa, dnia 24 (12) Października 1891 r. **Rok XI.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

KONGRES POKOJU.

Dnia 3 listopada ma rozpocząć swoje obrady w Rzymie „międzyparlamentarny kongres pokoju i rozjemczy.“ Dla objaśnienia zarówno jego nazwy, jak celu, musimy cofnąć się pamięcią w niedaleką przeszłość.

W r. 1887 komitet członków angielskiej Izby niższej przesłał prezydentowi Stanów Zjednoczonych adres, opatrzony podpisami 270 posłów parlamentu, a wyrażający radość z powodu projektów, wniesionych na kongresie waszyngtońskim i żądających zawarcia z Anglią traktatu, według którego wszystkie spory między obu państwami byłyby rozstrzygane przez sąd rozjemczy. „Jeżeli te wnioski zostaną przyjęte — pisał komitet — on zobowiązuje się wpłynąć na rząd angielski, ażeby poparł tę sprawę. Zawarcie takiej ugody miałoby wielkie znaczenie dla tych narodów, które marnują swoje zasoby na rzeczy pobudzające do wojny; następnie zaś inne państwa przyłączyłyby się do przyjaciół pokoju.“ Wkrótce potem ukazało się oświadczenie deputowanych i senatorów Francyi, orędujących za wprowadzeniem sądu rozjemczego w stosunkach francusko - amerykańskich. Głos ten odbił się również przyjaznem echem we Włoszech i Norwegii. W r. 1888 deputacya posłów francuskich przy współudziale członka parlamentu angielskiego, Cremera, przedstawiło tę sprawę ministrowi Gobletowi, który wyraził się o niej bardzo sympatycznie. Przy tej sposobności powzięto myśl zwołania wiecu z deputowanych Francyi i Anglii, który też odbył się 31 października 1888 r. w Paryżu. Postanowiono na nim urządzić wspólną konferencyę podczas wystawy 1889, a przedtem zwrócić się do prasy i opinii publicznej, ażeby oprócz posłów Francyi, Anglii i Stanów Zjednoczonych, przyjęli w naradzie udział także członkowie parlamentu innych krajów. Dla urzeczywistnienia tych uchwał wybrano komitet, do którego weszli: Fryderyk Passy (jako przewodniczący), Jerzy Campbell, Cremer, Juliusz Guillard, Prowand, Schwann, J. Simon, Siegfried i Yves Guyot.

Pierwsza „międzyparlamentarna“ konferencya miała miejsce w Paryżu, 29 i 30 czerwca 1889 r. Francyę przedstawiało: 56 senatorów i deputowanych, Anglię — 32 członków Izby niższej, Włochy — 5 senatorów i deputowanych, Hiszpania, Dania, Belgia, Węgry, Grecya i Stany Zjednoczone przysłały po jednym senatorze lub deputowanym. Ogółem było uczestników 99. Uchwalono szereg postanowień, zalecających państwom zaprowadzenie osobnych sądów rozjemczych, którym miały być poddawane wynikające między niemi sprawy, oraz zaopatrywanie wszelkich układów (handlowych, literackich itp.) odpowiedniem zastrzeżeniem odwoływania się do tej instancyi. Zobowiązano się przytem oddziaływać w tym duchu za pośrednictwem prasy, zebrań publicznych itd.

Druga konferencya odbyła się d. 22 i 23 lipca w Londynie. Anglia miała w niej 75 przedstawicieli, Niemcy 4, Holandya 3, Francya 21, Norwegia 4, Dania 2, Hiszpania 2, Włochy, Belgia, Austrya, Szwecya i Grecya po 1 — razem 116. Bardziej, niż liczba członków, wzrosła liczba oświadczeń przyjaznych. Na konferencyi 1888 r. było 40 uczestników i zaledwie 100 deklaracyj; 1889 r. — 99 i 300; 1890 — 116 i 700. Między ostatnimi znalazło się wielu ministrów i prezydentów Izb. Oprócz głosów jednostkowych przybyły również zbiorowe — od 31 członków kortezów hiszpańskich i od 93 deputowanych włoskich. Do Londynu przesłano uchwałę parlamentu włoskiego (z 11 lipca 1890 r.) tej treści: „Izba w interesie finansów, oszczędności i stopniowego zmniejszenia wydatków wojskowych, wzywa rząd do przyjęcia w wysokim stopniu obywatelskiej zasady, ażeby załatwianie wszelkich sporów, mogących powstać między narodami, powierzano sądowi rozjemczemu i ażeby ku temu celowi zawierane były stałe i ogólne traktaty, a do układów specyalnych dołączana odpowiednia klauzula.“ Między podpisanymi na tym wniosku znajdował się także Rudini, obecny prezes ministrów. Jego poprzednik na tem stanowisku, Crispi, przesłał konferencyi londyńskiej życzenia, a przedstawicielem Włoch był na niej senator Villari, obecny minister oświaty. Konferencya ta stwierdziła postanowienia poprzednich. Uchwalono nadto: utworzenie komitetów parlamentarnych w każdym kraju oraz sekretaryatu międzynarodowego, coroczne odbywanie konferencyi i zwołanie następnej do Rzymu. I ta właśnie ma za kilkanaście dni rozpocząć swoje obrady. Ponieważ komitety nie zostały jeszcze ustanowione we wszystkich krajach (parlamentarnych), a sekretaryat międzynarodowy wcale jeszcze nie istnieje, tymi więc dwoma przedmiotami zajmie się głównie konferencya rzymska. Ułożenie porządku dziennego obrad dało powód do małego zatargu i protestu ze strony posłów niemieckich, którym musiano zrobić ustępstwo i poświęcić ofiarę. Prezes komitetu włoskiego, organizującego ów wiec, Bonghi, jak zaznaczyliśmy dawniej, w kilku artykułach dotknął sprawy alzacko-lotaryngskiej i napomknął o potrzebie załatwienia jej przed sądem rozjemczym. Oburzyło to niemców, którzy oświadczyli, że dla nich kwestya ta nie istnieje, że nie mogliby należeć do ciała, któreby ją poruszyło, że więc nie przybędą. Wtedy Bonghi zrzekł się przewodnictwa w komitecie i ułagodził przeciwników.

Poznaliśmy historyę kongresu pokoju — zobaczymy teraz, o ile on swoją ideę dalej rozszerzy i co dla niej w nowem zgromadzeniu zrobi.

Z AUSTRYI.

Otwarcie parlamentu austryackiego. — Sprawozdanie budżetowe nowego ministra finansów. — Z parlamentu węgierskiego. — Hr. Apponyi a hr. Szapary. — Nowe stadyum sporu czesko-niemieckiego. — Rozjemcy. — Rozporządzenie ministra Gautscha o nauce języków klasycznych.

Pierwszem wybitniejszem zdarzeniem parlamentarnem po otwarciu obrad jesiennych było sprawozdanie nowego ministra finansów o budżecie bieżącym. Wystąpienie Steinbacha nikogo ucieszyć nie mogło, wielu zaś rozdrażniło. Przemawiał on w innym zupełnie tonie, aniżeli poprzednik jego, Dunajewski. Nie odzywały się dźwięki tryumfalne w tem sprawozdaniu, a nawet brakło owej pewności siebie, która bądź co bądź działa uspokajająco na słuchaczów. Przemowa jego dążyła do tego, aby osłabić zbyt korzystne mniemanie parlamentu o stanie skarbu austryackiego. Nie zaprzeczył on wprawdzie, że w budżecie urzędowym nie występuje niedobór, lecz z całym naciskiem zwracał się przeciw przypuszczeniu, jakoby to oznaczać już miało istotną równowagę fiinansową. Czy można mówić o uporządkowaniu gospodarstwa państwowego — zapytuje dr Steinbach — tam, gdzie nieprzewidziana konieczność wydania o parę milionów więcej stanowi poważne dla budżetu niebezpieczeństwo, tam, gdzie system podatkowy jest tak niesprawiedliwie urządzony i tak mało elastyczny, że mimo wzrostu dochodów niepodobna pomódz sobie nawet w chwilowej potrzebie, tam wreszcie, gdzie waluta nie jest ustalona?

W Kole polskiem słowami temi obudził dr. Steinbach niechęć; posądzono go o zamiar obniżenia zasług Dunajewskiego i przygotowania sobie gruntu w opinii publicznej, aby z tem większym efektem ogłosić następnie własne reformy. Trzebaby chyba istotnie nie znać natury ludzkiej, żeby nie przypuścić, że to „malowanie na czarno“ u wstępu karyery jest zręcznem wyprowadzaniem na scenę samego siebie. Lecz nie ulega wątpliwości i to, że stan rzeczy, nakreślony przez ministra, jest prawdziwy. Dunajewski z roku na rok przedstawiał finanse austryackie w coraz jaśniejszych kolorach. I dr. Steinbach z pewnością znajdować będzie dobrze brzmiące zwroty dla wyrażenia tego samego stanu rzeczy, a po kilku latach ten sam „nieelastyczny i niesprawiedliwy system podatkowy“ w języku ministra finansów nabierze niezwykłej elastyczności i możliwej sprawiedliwości: bo wszakże dodatnia działalność musi się w czemś ujawniać, jeśli nie w finansach, to przynajmniej w sprawozdaniu.

Parlament węgierski rozpoczął obrady pod złą wróżbą. Położenie rządu, który dąży do reformy administracyjnej, niezbędnej dla podniesienia kraju, jest krytyczne. Stronnictwo opozycyjne, mimo liczebnej mniejszości, wzięło górę. Osiągnęło ono w ostatniej sesyi swój cel: uniemożliwiło uchwalenie reformy administracyjnej, zmusiwszy rząd do przerwania odnośnych rozpraw bez skutku. Doniosłość tego zwycięztwa jest większa, niżby się na pierwszy rzut oka wydawać mogło. Opozycya wiedziała, że w roku obecnym odbędzie się ostatnia sesya bieżącej kadencyi parlamentu węgierskiego, że na wiosnę rozpisane będą nowe wybory. Postara się zaś o to, aby w ciągu tej zimy przeszkodzić rządowi w przeprowadzeniu reformy. Na czele opozycyi radykalnej stoi hr. Apponyi, człowiek olśniewającej wymowy, niezaspokojonej ambicyi, śmiałości i bezwzględności niebezpiecznej. Od lat dwudziestu bierze udział w węgierskiem życiu publicznem; mimo wszelkich wysiłków, mimo kilkakrotnej zmiany przekonań, nie mógł dojść dotychczas do steru. Pała tedy wrodzoną niejako nienawiścią ku każdemu prezydentowi ministrów i póty nie daje mu spokoju, póki go nie obali. Wystąpiwszy niedawno przed wyborcami w Jaszbereny, zapowiedział Szaparemu walkę na śmierć i życie, atakując go osobiście w sposób tak bezwzględny, że Szapary czuł się zmuszony, na zebraniu stronnictwa liberalnego, odpowiedzieć mu również w tonie polemiki osobistej. Hr. Apponyi zaś nie kryje się wcale z planem walki na rok najbliższy: zapowiada on, że jak poprzednio, tak i teraz opozycya wysuwać będzie sprawy wojskowe, zdolne podburzyć szowinizm narodowy i walczyć zawzięcie z ministrami, przerywając ich mowy, wyszydzając i drażniąc ich póty, póki nie popełnią czegoś, co może się stać powodem ich upadku. Sesya obecna będzie więc okresem walk zażartych, a wiedząc to z góry, rząd nie będzie mógł wystąpić ponownie z projektem reformy administracyjnej, nie chcąc narazić go na zdyskredytowanie. Nie jest wykluczona możliwość, że hr. Apponyi obali Szaparego; lecz gdyby ambicya jego nie była większa, aniżeli jego trzeźwość i rozsądek, wiedziałby, że nie on zasiądzie na krześle opróżnionem.

Spór czesko-niemiecki po podróży cesarskiej zbliża się do ponownego przełomu. Prasa domaga się coraz głośniej ponownego podjęcia akcyi, zmierzającej do ugodowego uregulowania spraw wspólnych. Hasłem obecnem jest „rewizya układu.“ Pojawił się też onegdaj pewien projekt, wychodzący ze sfer polsko-niemiecko-węgierskich, które stykają się z sobą w Wiedniu. Ogłoszony w kilku pismach blizkich rządowi, projekt ten wnosi, aby zwołano nową konferencyę ugodową, w której skład weszliby też polacy, jako doradcy obu stron, a w potrzebie, jako rozjemcy. Myśli tej nie grozi urzeczywistnienie, co zaznaczamy z zadowoleniem; rola owych posłów polskich, a w następstwie położenie Koła, nie byłaby wcale godna zazdrości.

Niezwykłe a zasłużone dowody uznania zaskarbił sobie w tych dniach minister oświaty, wydając rozporządzenie o nauce języków klasycznych w szkołach średnich. Gautsch przypomina profesorom, że nauka tych języków służyć ma tylko do uprzystępnienia młodzieży autorów klasycznych, jako źródeł kultury dzisiejszej. Ze środka uczyniono cel, kładąc główny nacisk na znajomość gramatyki. Minister więc zarządził reformę gruntowną a skuteczną: odtąd klasyfikacya nie będzie się odbywała na podstawie kilku tłomaczeń, lecz zawisła będzie od pilności ucznia w czytaniu autorów starożytnych. Jest więc nadzieja, że w przyszłości uczniowie gimnazyów austryackich będą obeznani nietylko z gramatyką i ze słownikiem, lecz i z treścią dzieł klasycznych.

S-z.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ile razy tylko w świecie politycznym zapanuje cisza, natychmiast Bismark nadyma i naciska swoje organy, które zaczynają grać pieśń żałosną o jego uwolnieniu.

Andrzej Niemojewski.

BAJKA MAŁŻEŃSKA

NOWELA.

Wody kradzione słodsze im są
a chleb pokątny smaczniejszy.
Salomon.

I.

Lekcya.

Siadło do lekcyi dziewczątko płoche,
Miętosząc w palcach fartuszka rogi.
Mentor wykłada kurs psychologii,
A mama słucha, robiąc pończochę.

—„Czy pani wie już, powiedzieć proszę,
Jak mkną wrażenia przez nerwu wstęgę?“
—„Ach, znam już dobrze wrażeń potęgę!..“
A mama gubi oczko w pończoszę.

—„Czy pani zatem wie już choć trochę,
Czem jest uczucie? Czego dokaże?“
—„Ja to już przeszłam w całym rozmiarze!..“
A mama chrząka, kładąc pończochę.

—„Co pani robi, jeśli przypadkiem
Przedmiot wrażenia na panią działa?“
—„Ha, reaguję najchętniej cała!..“
Mama na zegar patrzy ukradkiem.

—„Nie tknąłem jeszcze istoty rzeczy“ —
Zwraca się mentor. „Doprawdy, mamo!“—
Dodaje córka. Lecz mama przeczy:
—„Sądzę, że ja ci wskażę rzecz samą.“

II.

Mobilizacya.

Stał z obliczem wybladłem
Przed weneckiem zwierciadłem,
Frak przymierzał nowiutki,
Czernił skąpy włos bródki,
Zaczesywał łysinę,
Różę wpinał z godzinę —
W końcu ulgi tej doznał,
Że sam siebie nie poznał!

Znikły wieku pasywa,
Jeszcze próby odbywa
Z tą finezyą salonów
Półobrotów, ukłonów,
I gdy sztywne przeguby
Wprawił w ruchy młodziana,
Padł na oba kolana,
Szepcząc: „Kocham“—dla próby.

A pod drzwiami się czai
Stary, wierny druh-sługa,
Łamie ręce i mruga
Na biegnących lokai;
Mruga, stawia ich w kole:
Cała rada hajducza
Patrzy dziurką od klucza,
Wodząc palcem po czole.

„Hej, liberya!“ — pan woła.
Z pod drzwi pierzcha sług rada,
Powóz czeka, pan wsiada,
Jasność bije mu z czoła.
Lokaj drzwiczki zamyka,
Stangret konie zacina:
„W imię ojca i syna...
Stary dostał dziś bzika!“

III.

Oczekiwanie.

Do fortepianu pani domu siadła,
A córka domu nuty w ręce trzyma.
Kołem portrety, w perukach dziwadła
Wodzą ospale oczyma.

Córeczka śpiewa o głębi kochania.
Mama przygrywa o partyi wysokiej.
Kołem portrety śród powątpiewania
Wstrząsają białymi loki.

A wtem trzask bicza zrywa akord mamy,
Córka wybiega, mama za nią skoczy—
Kołem portrety, wytrzeszczywszy oczy,
Peruki chylą przez ramy.

Mama i córka gościa wprowadziły
Z półokrzykami, dygami, śmiechami—
Kołem portrety, machnąwszy rękami,
Gniewnie w bok twarze zwróciły.

IV.

Nazajutrz.

Z rannych obłoków topieli,
Z świetlistych lazurów łoża
Jako dziewica z kąpieli
Liliową pierś wznosi zorza,

Usłyszeliśmy ją po raz setny, jeżeli nie tysiączny. Znowu powtórzono, że kanclerz „nie chciał przyjąć na siebie odpowiedzialności za następstwa swej dymisyi" (skromny!), że trzymał się oburącz urzędu, że dopiero po kilkakrotnem i energicznem żądaniu cesarza ustąpił itd. Gdyby ten żelazny... Jowialski wiedział, jak ta jego bajka już się znudziła światu... O ile wszakże pragnie on nią rozerwać nudy polityczne, bądźmy mu wdzięczni. Bo nudy te są wielkie i dokuczliwe. Gdy sprawa dardanelska się wygładziła, a o Pamirze i rozmowie ministra Giersa z Rudinim nic pewnego nie wiadomo, gazety muszą się wysilać, ażeby zapełnić swoje szpalty piaskiem, któryby im pozwolił utrzymać się w należytem „zagłębieniu." Niektóre parlamenty już rozpoczęły swoją działalność, dopóki wszakże nie potrącą strun polityki zagranicznej, dźwięki ich rozbrzmiewają głucho.

Starcie rządu francuskiego z duchowieństwem, które zaczyna przybierać postać zatargu Francyi z Watykanem, jeśli się rozwinie, może dostarczyć nam ciekawego widoku. Pielgrzymi francuscy — jak wiadomo — znieważyli grób Wiktora Emanuela. Kilku z nich wsadzono do kozy, ale wkrótce ich wypuszczono i pozwolono wszystkim spokojnie odjechać. Zamiast żeby rząd włoski objawił z tego powodu pretensyę do Watykanu, ten ostatni, sądząc, że dobrze jest bijącemu krzyczeć, wystąpił ze skargą na „wyzywanie i znieważenie" pątników. Rząd francuski, któremu takie wędrówki i manifestacye pobożne nie mogą się podobać, rozesłał do swych biskupów okólnik ostrzegający. Arcybiskup z Aix odpowiedział ministrowi wyznań szorstko, że nie przyjmuje jego okólnika, za co ma być pociągnięty do odpowiedzialności sądowej. Przydałoby się.

Pod mostem kolejowym niedaleko Reichenberga, który niewykryta ręka usiłowała zniszczyć i wstrzymać pociąg cesarza austryackiego, znaleziono nowe miny. Ponieważ tym razem już wcale nie może być mowy o zamachu na Franciszka Józefa, więc widocznie objawiają się tu pomysły jakiegoś dynamitowego Kuby Rozpruwacza, który uprawia sztukę dla sztuki i chce sprawiać zniszczenie dla samego zniszczenia.

Crispi ogłosił list publiczny do adwokata Dumaresta w sprawie potrójnego przymierza. Twierdzi on, że gdyby do tej ligi przystąpiła Francya, Europa miałaby w swem łonie zawiązek Stanów Zjednoczonych.

W Erfurcie ukończył swoje obrady zjazd socyalnych demokratów niemieckich, na którym starły się trzy prądy: jeden, reprezentowany przez Vollmara, doradzający zgodę z rządem, uznanie jego związków zewnętrznych (troisty sojusz) i zdobywanie gruntu postępami umiarkowanymi; drugi, broniony przez Bebla i jego towarzyszów parlamentarnych, zalecający taktykę dotychczasową i od rządu niezależną; wreszcie trzeci, wyobrażany przez „młodych," najskrajniejszy. Zwyciężył drugi. Nie znaleźli poparcia ani oportuniści, ani rewolucyoniści, większość oświadczyła się za starymi przywódcami.

Skutkiem zabronienia wywozu makuchów z granic państwa ruskiego, niemieccy handlarze tego produktu wystosowali do kanclerza prośbę, ażeby na drodze dyplomatycznej postarał się o wstrzymanie zakazu przynajmniej dla tych ładunków, które zostały zakontraktowane z odstawą terminową.

Pełnomocnik Hirscha rozpoczął osiedlanie kolonistów na gruntach zakupionych przez niego w Argentynie dla żydów.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z ZACHODU.

III.

Najwybitniejszą jednak cechą usiłowań *visitor*'ów jest szczepienie idei samopomocy. Najbliższem zaś jej urzeczywistnieniem — zamiłowanie oszczędności. Gdy więc z jednej strony wytężają wszystkie siły, żeby w „odpadkach" społecznych uśpić „niezniszczalne dążności i nadzieje," z drugiej dokładają starań, żeby je skłonić do korzystania ze środków będących pod ręką i wróżyć do chwalebnego obcinania skromnych zarobków. Wybierają tedy dzień wypłat, obchodzą mieszkania najemników i ścigają od nich mizerną drobnicę. Czynią to zwykle, poddając im niedaleki jakiś cel: potrzebę kupienia węgla na zimę, obuwia, ubrania niezbędnego itp. Kiedy nareszcie chwila zrobienia takiego wydatku nadejdzie, biedakowi nienawykłemu do oszczędności „zdaje się," że dostał rzeczy nabyte — w podarunku... Powoli nałóg odkładania pieniędzy „pomimo widoków głodu" wkorzenia się; rozumują nawet: „wszystko jedno — tydzień przymrzesz głodem i nie uczujesz tego!.." Dawniej, a poniekąd i dotychczas, zwyczaj obchodzenia mieszkań robotniczych przez *visitor*'ów i ściąganie od nich oszczędności w dnie wypłat — był stałą zasadą; obecnie T. O. D. w cyrkułach bardziej ubogich pozakładało kasy oszczędności, czyli t. zw. *Penny Savings Banks*, obliczonych przeważnie na dzieci.

Banki te są właściwie „kasami groszowemi": przyjmują wkłady, poczynając od centa. Jeżeli kto życzy sobie tam wnieść cent, dwa, dziesięć — dwadzieścia centów, otrzymuje na takąż sumę markę, którą wkleja do swojej książki, notując w ten sposób kwoty oszczędności zrobionych — włącznie aż do 10 dolarów. Wówczas, na żądanie, „oszczędnik" dostaje istotną książkę bankową. Te marki obstalowuje on sam według własnego wzoru. Jeżeli jest ładna, stanowi ogromną przynętę dla dziecka. Obdartus uliczny gotów bywa raczej poskąpić sobie w łakociach, byleby okroić centa na kupienie takiej marki, żeby ją potem własnoręcznie wkleić do książki i porachować swoje oszczędności, wyrażone w markach. Wpływ tej instytucyi na te maleństwa jest tak znamienny, że nie mogę się wstrzymać od przytoczenia tutaj obrazka, oglądanego przez p. Mac-Gahan:

„Ze dwie godziny razu jednego przesiedziałam w jednej z takich kas, od trzeciej do piątej robiąc spostrzeżenia nad ciżbą uczniów tłoczących się, żeby kupić markę lub podjąć oszczędności. Ile tu było ożywienia, żartów, uwag nad tem, czyja marka jest ładniejsza! Każdy pchał się bezustannie ze swoją rozmową i uwagami do młodej kasyerki, spoglądającej na hałaśliwą dziatwę przez okienko swojej budki i niezdradzającej swej niecierliwości nawet wobec najnierozsądniejszych próśb i postępków.

— Miss Green, o Miss Green! — czepiał się jej obdartus, ledwie nosem sięgający okienka kasy. Czy prawdę mówił onegdaj Myko, że ma dolara w banku?

I jasnem szybując czołem,
W głębie niebieskie ulata
I w górze ręce rozplata
Nad ziemi kołem.

Na ganek w cudny zaranek
Wyszedł aniołek maleńki,
Piękniejszy od róż kochanek
I od wschodzącej jutrzenki.

Aniołek pierś miał bielutką,
Na piersi zgrabny gorsecik,
Spódniczkę krótką, leciutką
I pisał właśnie bilecik.

Tak pisał: „Mój sokoliku!
Nie przychodź jutro na kawę,
Będziemy mieli zabawę
I różnych gości bez liku.

A zwłaszcza pana jednego,
Co ma ekwipaż wspaniały.
Konie, jak dyabły dwa biegą,
Jużeśmy z mamą jechały!

Nam tu o niego nie chodzi,
On etykiety nie złamie,
Ale (jak zdaje się mamie)
Guzów szukacie wy młodzi...

Tymi zaś, co burzą prawa
Salonu, kobiety gardzą!..
Mój drogi, kocham cię bardzo,
Lecz u nas jutro zabawa.

Spal wszystkie listy... Koło mnie
Jak duch wciąż będziesz zawisać,
Możem się kochać ogromnie,
Ale do siebie nie pisać!!"

Tak kreślił aniołek rankiem.
Kończy, w kopertę list łamie;
Gołąbek gruchał nad gankiem
I siadł, jak zwykle, na ramię.

Dziobkiem swym tak, jak przywyknął,
Kopertę chwyta za rąbek,
Aniołek klasnął — gołąbek
Zerwał się, frunął i zniknął.

V.

Władca poddasza.

W państwie poddasza, nad miastem, nad światem,
Przy oknie dumał wieczorem:
Majowy wietrzyk był jego kamratem,
Księżyc nadwornym doktorem.

Ceremoniału mistrzem był poranek,
A szczury archiwistami,
W korespondencyach szperając poddanek —
Zaprawdę, tak bywa z nami!

Siedział przy oknie i zaśmiał się głucho,
Gdy wspomniał o swym rywalu.
Wieczór jak radca tajny szeptał w ucho:
„Dziś on z nią będzie na balu!"

Zaśmiał się znowu, lecz ćmi mu się w oku...
Już dołem huczą karety,
Zazdrość, jak dama dworu szepcze z boku:
„Ach, są piękniejsze kobiety!"

Pociera czoło, myśli wrą i biegną.
Śni mu się sala balowa,
Świat cały tańczy walca wkoło niego,
Tańczy i balu królowa.

Królowa balu w koronkach i kwiatach
Tańczy przy piersi tancerza,
Tancerz z łysiną i w podeszłych latach —
Lecz miłość ludzi odświeża!

Rozmowa lekko toczy się, a czasem
I dowcip lśni brylantowy,
Zwłaszcza gdy mówią o gustach—nawiasem
On się oświadcza królowej!..

Ona rozkosznie ściska mu prawicę
I dalej z wdziękiem tańcują...
Masz tobie! Nawet już i kamienice
W oczach kołują, wirują...

I aniołowie zstępują pijani,
Walcując z nieba porządkiem,
I świat w koziołkach leci do otchłani
Razem ze zdrowym rozsądkiem!!

VI.

Pocieszycielka.

„Cóż ci mój chłopcze?" — zabrzmiał szept z oddali,
Z pod parasolki pąsowej.
„Czyście dla jednej potracili głowy
I hurmem powaryowali?!

Błądzę godzinę, błądzę dwie godziny
Pod oknem w cieniach akacyi,
Przez bal człek gotów dziś nie zjeść kolacyi—
Masz chwilę czasu, jedyny?..

Mogę ci wszystkich z kolei wymienić,
Którzy ruszyli tam tłumnie.
Jest i ten z łysem! Wczoraj siedział u mnie,
Mówił, że myśli się żenić!..

— Ustąp, chłopcze, ustąp! — odpowiadała kasyerka spokojnie. Choćbym pamiętała, nie mam prawa opowiadać, kto ile ma oszczędności.

— Miss Green, proszę posłuchać chwileczkę: Założyłem się z Myke'iem, że do Bożego Narodzenia zbiorę tyle samo, co on, to czyż mnie...

Nie dokończył, odtrącony na bok łokciem dziesięcioletniego malca, który z poczuciem osobistej godności wlepił uparcie oczy w kasyerkę i oświadcza, że potrzebuje natychmiast podjąć trzy dolary i czterdzieści dziewięć centów. Tłum dzieci z szacunkiem rozstępuje się przed „kapitalistą," zwraca na niego badawcze wejrzenia, otaczający go drobiazg staje na palcach, żeby sprawdzić, wkładnik nie chełpi się nadaremnie; czy otrzyma taki ogrom pieniędzy? Ale nic, jest on kapitalista rzeczywisty: kasyerka, słowa nie rzekłszy, wydaje mu żądaną sumę. Malec nie spiesząc, niedotycznie rachuje pieniądze i chowa do kieszeni kamizelki. „A pozostałe dwa dolary — powiada — proszę zatrzymać w kasie, miss Green — na rozpłodek..." Narowy kapitalisty krępego malca, pewność tonu, nasępiona twarz — śmieszyły mnie i zaciekawiły. Spytałam, na co mu tak duża suma. Spojrzał na mnie z politowaniem i odpowiedział:

— A skądże wezmę buty? I kamizelkę sobie już upatrzyłem.

— Dolara z moich należności proszę mi dać — ostrym dyszkantem wyśpiewuje, podchodząc do okna malec lat siedmiu, z wyglądu sądząc. Temowi Smedley, proszę dać dolara z książki!

— Całego dolara, Tommy? — pyta z uśmiechem kasyerka.

— Akurat całego, miss Green, chcę spróbować handlu.

— Tommy będzie sprzedawał lody, miss Green! — z zachwytem woła, nie mogąc wytrzymać, jeden z jego towarzyszów. Za nim cisnęła się cała zgraja malców, ściągnięta ciekawością, jak wygląda ten, co „kapitał" podejmuje."

W budynku kasy dziatwa porusza się tak swobodnie i z taką pewnością siebie, jak ich dojrzałe wzory: bankierzy i kupcy — w halach giełdowych, czując, że prawo wstępu doń nabyła.

Czem w gruncie rzeczy jest ta instytucya? Objawem wielkiego dowcipu i przebiegłej samoobrony miłośników gospodarki osobniczej co większa, niezależnie od zamiaru jej twórców — szkołą, tresującą młodociane latorośle zagryzionych nędzą starych „niedołęgów" na kierowników tegoczesnej produkcyi i wymiany: bankierów, kupców — kapitalistów! Obawa wobec uspołeczniającej dążności rozwoju stosunków przedmiotowych w życiu dzisiejszem i zarazem mądra przezorność mieszczańska dała byt temu miniaturowemu urządzeniu, zaopatrzonemu tak troskliwie we wszystkie cechy wielkich instytucyj kapitalistycznych, że nawet nie zapomniano wkładów dziecięcych obdarzyć udziałem w nadwartości, pobieranej przez malca w wysokości 2%.. Idzie o to, żeby przez sprzężenie młodych ze sprężynami i kółkami współczesnego mechanizmu gospodarczego, wyrobić w nich takie bodźce psychiczne, które są dziełem najpotężniejszej dźwigni ustroju — współzawodnictwa; idzie o wytworzenie, zbudzenie lub utrwalenie takich cech emocyonalnych, które postępowy prąd życia nosi w zarodku, żeby, raz rozwinięte, stały się jego nieprzepartą tamą i były silną spójnią z ustrojem. I niema powodu wątpić o tych nadziejach lub kpić z radosnego rozrzewnienia mieszczanina, które w nim rodzą postępy jego „szkółki"; znajdzie on śród młodego potomstwa tłumów pracujących pewną liczbę pojętnych uczni. Jednem tylko można się pocieszyć: że w większości wypadków usiłowania jego będą pracą *pour le roi de Prusse*... Wielu z jego uczniów nietylko pozna poglądowo wartość sprężyn i kółek systemu osobniczego, ale nie znalazłszy w nim miejsca dla siebie, z czasem, pomimo całego wyrobienia emocyonalnego, łatwiej nabędzie również i zdolności krytycznych — i opuści sztandar przeszłości, z chwilą gdy nić *business*, łącząca go z nim, stanie się pajęczą. Samopomoc, tak mozolnie rozwijana, działać pocznie w stosowniejszych kadrach społecznych.

Zyg. Pietkiewicz.

W SPRAWIE OFICYALISTÓW WIEJSKICH.

Zwyczaj, który zapanował śród sług miejskich, tj. „koszykowe," jako dopełnienie małego wynagrodzenia za pracę, istnieje także śród oficyalistów wiejskich. Ekonom, pisarz prowentowy, karbowy, gumienny, a nawet czasem nadleśny i rządca, dopełniają sobie jak mogą dochody, gdyż pensya w większości wypadków nie wystarcza. Pracodawca, określając wynagrodzenie, wie nieraz doskonale, że nie może ono wyżywić ani odziać rodziny, że i ordynarya, jeżeli jest zastrzeżona w umowie, nie zawsze odpowiada istotnym potrzebom. Domyśla się, albo jest przekonany, że Jankiel na uboczu od czasu do czasu zakupuje jakiś worek pszenicy, żyta, grochu, lub korzec kartofli na korzyść oficyalisty. „Kradnie, szelma, wiem o tem, ale co na to poradzę!" — Niejeden mówi, nawet czasem z pewną fanfaronadą. Gdy jednak ośmielony patrzeniem przez palce, oficyalista zanadto swe ręce zapuści do „pańskiego dobra" — traci miejsce. Nie wszyscy atoli są w tak *przyjaznych* warunkach, że mogą sobie wypłacać „dodatkową pensyę." Wielu patrzy z chciwością na zapasy pańskie, jak kot w spiżarni na ser, wiszący u góry... Inni znowu, powodowani drażliwością, nie tkną tego, co należy do ich pracodawcy, chociażby nie trzeba było więcej trudu, jak tylko sięgnąć ręką. Pilnują oni zgłodniali pełnej misy pańskiej, mówiąc sobie: wara! Tacy— najbardziej pożądani, a gdy wyczerpią resztki swych sił za bezcen sprzedanych, idą z torbami. Są to wyjątki o charakterach nieugiętych," dość jednakże liczne w stosunku do ogółu. Nie można atoli wymagać od większości takiego hartu; musi on skruszeć pod rdzą warunków obecnych. Pracodawcy spostrzegli, że to nazbyt często się zdarza, że ich dobro na tem cierpi, gdyż nic tak są wielkie straty z samowolnego zwiększenia płacy, jak z niedbalstwa, gospodarki rabunkowej, byleby na razie dać najwięcej dochodów właścicielowi i swoją kieszeń przy tej sposobności zaopatrzyć. Oficyalista, nie widząc żadnej przyszłości przed sobą, spełnia swe obowiązki niedbale, na wszelkie straty patrzy obojętnie, nie wysila swej energii ani zużywa całkowicie zdolności dla zwiększenia dochodów pracodawcy, lub zaradzenia stratom. Jeżeli takie znieczulenie daje ćię spostrzegać śród pracowników oświeconych, to cóż mówić o całych armiach parobków, różnych najmitów i drobnych oficyalistów ciemnych, licho płatnych? Posiadacze ziemscy, widząc iż własne ich interesy są zagrożone, jęli radzić o zabezpieczeniu przyszłości oficya-

---

Ona — jest także, przyjechała z ciotką.
Już walca z nim przetańczyła;
Dotąd dla niego jest grzeczna i miła,
On w oczy patrzy jej słodko.

Raz się potknęli... Dla ich ambarasu
Ktoś ten kalambur wygłosił:
On ją też zaraz o rękę poprosił —
Mój drogi, masz chwilę czasu?..

Powiem ci szczerze: z nas proste dziewczyny,
A z niej salonów ozdoba,
Lecz ona nam się wcale nie podoba —
Otwórz mi drzwi, mój jedyny!"

VII.

Szczęście w nieszczęściu.

Za oknem szumi wiosenna ulewa,
W mieszkaniu mrok tajemniczy.
Siedli na sofce, ona płaszczyk zdziewa,
Przy piecu samowar syczy.

Za oknem huczy gromów kanonada,
Niebo i ziemia w rozruchu.
Mężczyzna milczy, kobieta powiada:
„Przemów, ponury ty duchu!"

Więc podniósł oczy i zaśmiał się do niej:
„Czy będziesz na mym pogrzebie?"
A piorun pęka, jak granat, na niebie
I krwawo twarze ich płoni.

Kobieta mówi: „Chociaż żmudno i nudno
I życie marnej jest troski,
Umierać jednak tak trudno, tak trudno" —
I jego włosem się pieści.

Mężczyzna ramion otoczył ją splotem,
A w górze niebo zadrgało,
Jak gdyby pękło z straszliwym łoskotem
I na nich się zapadało.

VIII.

Bajka małżeńska.

Grają organy, zjeżdżają karety,
W poszeptach chylą się głowy,
Szeleszczą wieńce, perły, toalety,
Przeciąga orszak godowy.

Kroczą drużbowie w jaskółczym kostiumie,
Przefruwa motylek biały.
„Śliczna, urocza!" — tłumy zaszeptały,
Motylek dobrze rozumie...

Już i barona drużki wprowadziły.
On na nie zerka z ukosa;
Jest to jegomość stateczny, podżyły,
Binokl wciąż spada mu z nosa.

Tłumy jak fale zacieśniają koła,
Iskrzą jak gwiazdy oczyma,
Tłok coraz większy wśród nawy kościoła—
Ach, kogóż w tłumie tam nie ma!

Na ławce stoi doktorowa w cieniu,
A za nią radca się chowa;
Mecenas z boku, na jego ramieniu
Ładniutka notaryuszowa.

Ta patrząc w ołtarz, drwiąco się uśmiecha
I szepcze mecenasowi:
„Co oni poczną ze sobą, u licha,
Może mecenas mi powie?!"

Mecenas odparł: „Znam przeszłość barona.
Był dependentem w Warszawie;
Szef tabetykiem, ale szefa żona
Była pięknością prawie!

Tors miała taki, jak pani... Brwi, oczy,
Jak pani... Nóżkę, jak pani...
Nieraz z baronem szliśmy jak pijani
W ślad tej postaci uroczej.

Ona się chłopcem zajmowała lata,
On też postarzał się przy niej;
Dziś, stary bogacz, z młodziutką się swata—
Widzisz ich pani w świątyni.

Jeśli się baron strzeże dependenta,
To znajdzie buchhaltera,
Albo już znalazł... Niech pani pamięta,
Na tem się ludzkość opiera:

Stara wykształca młodego, on z wiekiem
Młodziuchną bierze żoneczkę,
Ta kształci dalej... Człowiek jest człowiekiem!..
Zna pani już tę bajeczkę?"

Skończył. W kościele brzmią ślubne chorały,
Tłum wraca zbitą nawałą —
A tę bajeczkę, jak się pokazało,
Wszystkie kobiety już znały.

(D. n.).

listów w taki sposób, iżby ci nie potrzebowali sami sobie gromadzić funduszów emerytalnych za pośrednictwem handlu pobocznego produktami właściciela, a przedewszystkiem, iżby czując trwalsze oparcie, starali się gorliwiej pracować i nie skąpić swych sił, wiedząc, że po ich starganiu znajdą kąt spokojny i strawę. Jeszcze Karol Libelt w swojej „Koalicyi kapitału i pracy“ rozwinął projekt urządzenia gospodarstwa wiejskiego na zasadach spółki akcyjnej, z przypuszczeniem do udziału w niej wszystkich pracujących stale w gospodarstwie. Myśliciel ten, wolny od celów pobocznych, zamierzał projekt swój w czyn wprowadzić na jednym z własnych folwarków, ale śmierć mu nie pozwoliła uskutecznić zamiaru. Odtąd na kołowrotku projektów kręcą się bezustannie rozmaite rady i pomysły ciągle te same z małemi zmianami. Dla wywołania większego ruchu i wynalezienia rzeczywistych podstaw (możliwych w naszych warunkach) utrwalenia bytu pracowników wiejskich, studenci Instytutu rolniczego w Nowej Aleksandryi (Puławach) ogłosili konkurs w r. 1888 na temat: o najwłaściwszych sposobach wynagradzania robotników wiejskich i oficyalistów, oraz o środkach zapewniających im samym i ich rodzinom byt w razie starości lub kalectwa. Z jedenastu prac nadesłanych, dwie zwróciły uwagę, z których jedną nagrodzono (p. Bolesława Zdziarskiego), drugą wyróżniono (p. Ludwika Modzelewskiego). W rezultacie wzbogaciły one krajową literaturę ekonomiczną i pomimo iż posiadają sporo pomysłów dobrych, nie wywołały prób zastosowania ich w czynie.

W roku bieżącym sprawa bytu oficyalistów wiejskich znowu się poruszyła żywiej na kołowrotkach dziennikarskich. Niedawno pp. Henryk Chrzanowski i Kazimierz Stamirowski, obywatele ziemscy, ogłosili w *Słowie* projekt zbiorowy, który zasługuje na uwagę z tego względu, że powstał z uświadomionego poczucia sprawiedliwości. „Nie zawsze, co prawda — powiadają projektodawcy — oficyalista rolny odpowiada pokładanemu w nim zaufaniu, ale czy on tylko temu winien? Czy obowiązek chlebodawcy ograniczać się powinien tylko na zaspokojeniu, niekiedy bardzo skromnem, pierwszych jego potrzeb? Czy ciężko pracując od świtu do nocy, ze szkodą najczęściej swego zdrowia, nie zarabia więcej niż ma przeznaczone? Czy w lepszych ekonomicznie czasach pomyślano kiedy o tym pracowniku pługa i jego rodzinie? Z pradziada ekonom mógłże sam kształcić się, mając ledwie na kawałek chleba, a czasu ledwie parę godzin dla wypoczynku? Zaprawdę, na te pytania przeczące zawsze wypada odpowiedzieć. Stan oficyalistów wogóle smutny, po większej części z winy samych ziemian-rolników, którzy, niestety, tak przy dobrym jak i złym stanie rolnictwa, o nim zapomnieli. Los zatem oficyalisty rolnego powinien choć dziś być inicyatywą do obmyślenia środków, zabezpieczających utrzymanie jego w starości, a po śmierci zapewnienia rodzinie pierwszych potrzeb do życia.“ Środkiem tym ma być projekt, obmyślany przez „kółko znajomych i sąsiadów,“ którego osnowę podajemy: Oficyalista, liczący lat 30, jeżeli pragnie po 65 latach życia pobierać rentę dożywotnią, a po śmierci zapewnić rodzinie kapitał np. rs. 1,000 powinien opłacać rocznie po rs. 27 k. 90. Jeżeli umrze przed 65 rokiem, rodzina otrzyma rs. 1,000. Jeżeli dożyje 65 lat, otrzyma rentę dożywotnią rs. 120. Pracownik, liczący 35 lat, ubezpieczony do 65 roku życia na takiż kapitał i rentę, opłacać będzie rocznie rs. 32 k. 50; 40-letni — rs. 39 kop. 50 itd. Stosunek ten zwiększy się lub zmniejszy w miarę ubezpieczenia niższego lub wyższego renty i kapitału pośmiertnego. Ubezpieczony po latach pięciu ma prawo do dywidendy i jeżeli jej nie odbiera, a przeznacza na powiększenie renty, to będzie ona wynosić w wypadku pierwszym (35 lat służby) od 200 do 240 rs., w drugim (30 lat służby) 150—170, w trzecim (25 lat) od 140 do 160. Po śmierci, bez względu kiedy ona nastąpi, rodzina ubezpieczonego otrzyma kapitał rs. 1,000. Jeżeli ubezpieczony po trzech latach regularnego płacenia premij, przestał nadal wnosić składki, otrzyma polisę bezpłatną na kwotę mniej więcej taką, ile przez trzy lata zapłacił, którą rodzina po jego śmierci otrzyma. Jeżeliby sam chciał odebrać spłacone raty, otrzyma tylko $^1/_3$ sumy. Opłacanie premij przez oficyalistów, „to najdrażliwsza kwestya projektu — powiadają pp. Chrzan. i Stam. — „Wynagrodzenie naszych pracowników rolnych jest tak niskie i niewystarczające, nawet na pierwsze niezbędne ich potrzeby, że opłacanie premij przez nich samych prawie jest niemożliwe! Dlatego byłby tu pożądany współudział pracodawcy w stosunku do wysłużonych lat. Taka pomoc „da oficyaliście możność uiszczania się z rat ubezpieczeniowych, przywiąże go do miejsca i chlebodawcy, czyniąc go niejako członkiem rodziny.“ Według projektu, po latach trzech pracodawca powinien przyczynić się do opłacania premij, w stosunku 20%, po 6-ciu 40%, po 9-ciu 60%, po 12-tu 80%, po 15-tu 100%. W razie gdy oficyalista zmienia służbę, procent płacony przez pracodawcę cofa się o jeden szczebel. „Zmianą miejsca obowiązku, a co za tem idzie, traceniem współudziału chlebodawcy w płaceniu premii, nie można zbyt karać oficyalisty, boć uderzmy się w piersi, ileż to razy wypadałoby nam powiedzieć *mea culpa*, ileż to razy spędzamy na oficyalistę niepowodzenia z naszej winy wynikłe; on wykonawcą tylko naszych dyspozycyj; on kółkiem tylko w tej maszynie, która nie zawsze poruszaną bywa siłą pary.“ Zdaniem projektodawców, zbiorowe ubezpieczenie oficyalistów w którembądź Towarzystwie pozyska odeń pewne ustępstwa na rzecz ubezpieczonych.

Pomysł ten, chociaż przedstawia mało szans urzeczywistnienia, jest już ważnem świadectwem chęci ustępstwa właścicieli ziemskich na rzecz oficyalistów w interesie wspólnym. Chcą go „przywiązać do miejsca“ i uczynić zeń „niejako członka rodziny.“ Taki pracownik może być doskonałą maszyną, wykonywającą dokładnie czynności poruczone, a smarowidłem dla wprawienia w szybki ruch zakrzepłej jego energii byłyby premia, zabezpieczające starość. Podobne *zbiorowe* tworzenie projektów przez szlachtę, bez względu czy mogą być urzeczywistnione, czy nie, uświadomienie krzywdy wyrządzanej przez długi szereg lat oficyalistom, wpłynie dodatnio na utrwalenie strony etycznej śród pracodawców, wyrobi w nich większą łatwość do ustępstw. Zanim się doczekamy jakiejś organizacyi jednolitej zabezpieczającej byt owych pracowników, pożądane będzie poprawienie chociaż tymczasowe warunków obecnych. Trudno wymagać czegokolwiek od tych, którzy sami są bankrutami i kandydatami na oficyalistów w niedalekiej przyszłości. Kurcząc się i ratując rozpaczliwie, nie mogą ani podnosić pensyi, ani opłacać premij swych pracowników, skoro sami ulegają licytacyi za dług nieraz kilkudziesięciorublowy. Sporo atoli jest takich jeszcze, których interesy względnie są niezłe, podlegające tylko pewnym wahaniom pod wpływem ogólnych przesileń ekonomicznych nadto, ludzie zamożni, stojący na silnych podstawach. Ci właśnie powinni wziąć pod uwagę położenie oficyalistów. Wogóle interesy ich są ściśle związane z ogólnym stanem rolnictwa. Gdy się ono wzmocni, gdy będą wyzyskane najdrobniejsze źródła produkcyi rolnej bez pomocy pośredników i spekulantów; gdy zamiast rozwijania burszostwa i blagi w Halli i innych podobnych zakładach młodsze pokolenie rolników odda się rzetelnemu studyowaniu wiedzy technicznej, aby ją potem zastosować w swych gospodarstwach, wtedy po ustąpieniu z pola niedołężnych, środki zabezpieczenia bytu oficyalistów, ujęte w formę trwałej organizacyi, mogą przyjść do skutku i wydać pożądane owoce.

Zenon. Pietkiewicz.

BADANIA NAUKOWE.

SYSTEM ETYKI PRAKTYCZNEJ.

Fryderyk Paulsen, nadzwyczajny profesor filozofii na wszechnicy berlińskiej, ogłosił niedawno gruby tom, poświęcony zagadnieniom etycznym. Dzieło to miało niezwykłe powodzenie: pierwsze wydanie rozsprzedano w ciągu roku niespełna, a dziś leży przed nami drugie, powiększone p. t. „System etyki wraz z zarysem nauki o państwie i społeczeństwie“ *). Niezwykłe to powodzenie książki tłomaczy się tem, że nie jest ona sucha, przepełniona terminami naukowymi, lecz napisana żywo, przystępnie; że nie gubi się w sferach metafizycznych, lecz ma na oku praktyczny bieg spraw ludzkich i daje czytelnikowi miarę do sprawiedliwego ocenienia dzisiejszych stosunków politycznych, gospodarczych i towarzyskich. W przedmowie autor wyznaje, że *Etyki* nie pisał dla filozofów, gdyż nie śmie myśleć za ludzi, którzy sami opływają w myśli. Sądzi on zresztą, że system filozofii moralnej, któryby był nawskroś nowy, dziś nie jest ani potrzebny, ani możliwy, gdyż zasady główne raz na zawsze (*! Red.*) wytworzone zostały przez filozofię grecką. Według Paulsena zadanie etyki polega w zastosowaniu stałych prawd do spraw bieżących.

Temu zadaniu poświęcone jest całe jego dzieło. Wyświetliwszy w przedmowie zadanie etyki, autor podzielił cały materyał na cztery księgi. W pierwszej zapoznaje nas z historyą poglądów na życie i filozofii moralnej, zaczynając od greków, a kończąc na literaturze najnowszej. Druga poświęcona jest wyświetleniu pojęć i zagadnień zasadniczych. Rozbiera tu Paulsen pojęcie dobra i zła, cel ostateczny czyli dobro najwyższe, pesymizm i optymizm, obowiązek i sumienie, egoizm i altruizm, cnotę i szczęście, stosunek etyki do religii, wreszcie wolność woli ludzkiej. Trzecia księga zawiera właściwą naukę o cnotach i obowiązkach. W czwartej bada formy życia towarzyskiego i społecznego. Zastanawia się naprzód nad pożyciem rodzinnem i małżeńskiem, nad przyjaźnią i towarzystwem. Dalej objaśnia ze stanowiska etyki życie ekonomiczne i społeczne, a zatem kwestyę własności, sprawę organizacyi społecznej, socyalizm i projektowane przezeń reformy. Kończy zaś dzieło swe zarysem dziejów państwa.

W ramach tych porusza mnóstwo przedmiotów, żywo obchodzących każdego myślącego człowieka. Nieskrępowany żadnemi formułkami, widzi i przedstawia świat rzeczywisty. Jasno i trzeźwo wykazuje zwłaszcza różnice, zachodzące pomiędzy teoryą a praktyką etyki, w których uwydatnia się mimowolny komizm ludzkości.

Różnice te występują najjaskrawiej u niektórych filozofów nowszych. Petrarka pisze „De contemptu mundi“ i wychwala życie samotne, wśród pasterzy, za światem, a przebywa na dworach książąt, którym schlebia, biorąc udział w ich orgiach. Wynosi czystą miłość i przyjaźń bezinteresowną, a żyje z kobietami nadto życzliwemi dla płci męzkiej i z ludźmi, którzy są roznosicielami jego sławy lub pomocnikami w polowaniu na dochody. Występuje przeciw zazdrości, a imienia Dantego nie może wymówić.

*) *System der Ethik mit einem Umriss der Staats-und-Gesellschaftslehre.* Berlin, Wilhelm Hertz, 1891.

Rousseau zwalczał zepsucie obyczajów i zalecał wychowanie zgodne z prawami przyrody; sam zaś żył w „dzikiem małżeństwie,“ a dzieci swe oddawał do domu podrzutków bez pamiątki, po której by je kiedyś mógł poznać. Czy można bez uśmiechu czytać biografię Schopenhauera! Uczy on rezygnacyi, zaparcia się chęci życia; lecz zamiast sam być ascetą, żył jak epikurejczyk. Uczył współczucia i litości, był zaś nielitościwym, nietylko dla swych przeciwników literackich, lecz dla własnej matki i siostry. W tem może szukać należy prawdziwego klucza do jego systemu: bo czyż dziwno, że człowiek, którego natura tak daleco oddalona była od jego ideału, pragnął przedewszystkiem być uwolniony od samego siebie?

Mniej świadomie, lecz nie mniej silnie występują różnice w zasadach i postępowaniu obecnem. W kołach demokratyczno-liberalnych sądzą, że od czasu wielkiej Rewolucyi francuskiej społeczeństwo kroczy stale w kierunku wyrównania różnic towarzyskich, i że równość jest głównym nakazem etyki społecznej. W rzeczy samej obalone zostały różnice stanów, szlachta i mieszczaństwo nie stanowią dziś dwu kast odrębnych, lecz raczej dwie grupy klasy jednolitej w cechach głównych. Mimo to nie ma mowy o istotnej równości. Społeczeństwo to, które o niej ciągle mówi, rozpada się przeciwnie na dwie kasty, ściśle oddzielone. Do pierwszej zaliczają się ci wszyscy, którzy żyją z renty, z procentów, z zysku przedsiębiorcy i którzy pracują głową; do drugiej ci, którzy żyją z rąk. Tamci stanowią „towarzystwo,“ ci zaś „lud.“ Różnica ta uwydatnia się w nader charakterystycznej zmianie pewnych nazw. Przed stu laty rzemieślnicy i przemysłowcy zwali się według swych zajęć: młynarzami, szewcami, krawcami, piwowarami itd. Dziś młynarz lub piwowar zowie się najchętniej właścicielem młynu lub browaru, krawiec mianuje się „marchand tailleur,“ majster murarski tytułuje się przedsiębiorcą budowli. Idzie o usunięcie przypuszczenia, iż panowie ci sami pracują rękami; nowy tytuł wyraża, że się ma ludzi, którzy pracują, że się jest przedsiębiorcą. Ta nierówność ludu „zrównanego“ stanowi znamię czasu. Pomiędzy dwiema temi kastami nie ma wspólności, nie stykają się one w życiu towarzyskiem, nie obchodzą wspólnych świąt, nie żenią się między sobą. W pracy i w używaniu, w myślach i uczuciach bliższymi sobie byli rycerze feodalni i ich giermkowie, aniżeli dzisiejsi kapitaliści i robotnicy...

Nie mniej trzeźwo odpowiada Paulsen na pytanie: czy altruizm wzrasta z biegiem wieków. Nie dzieli on w tym względzie bynajmniej optymizmu Spencera. Dzieje ludzkości wykazują bezsprzecznie postęp w uspołecznieniu ludów. Zmiana warunków życia wywołuje pewne zmiany w naturze ludzkiej, polegające właśnie na rozwoju instynktów społecznych. Lecz popędów społecznych nie należy mieszać z altruizmem; mogą one istnieć bez niego. Może istnieć kooperacya zgodna i trwała bez miłości bliźniego, a nawet mimo najwyższego napięcia instynktów samolubnych, skoro ono zrównoważone jest nie mniej silnemi, wewnętrznemi i zewnętrznemi przeszkodami gwałtownego wystąpienia popędów egoistycznych. Czy istotnie społeczeństwo dzisiejsze bogatsze jest w uczucia altruistyczne, aniżeli szczep indyjski lub germański przed 2,000 lat? Gdyby nawet tak było, to nie mniej wzrosły też uczucia nienawiści, zazdrości, nieprzyjaźni. Jednostki stały się zdatniejsze do kooperacyi; germanów, z którymi walczył Maryusz i Cezar, nie można by było użyć w biurze lub w fabryce; lecz gdzież napotykamy silniejsze starcia, aniżeli w gronie urzędników, nauczycieli lub duchownych? Gdzież uczucia wrogie bardziej są zaostrzone?

Z dalszych wywodów Paulsena zasługuje na uwagę wyjaśnienie stosunku cnoty do szczęścia. Stosunek ten badać można z dwóch punktów widzenia, zapytując: jaki jest wpływ cnoty na szczęście, jaki wpływ szczęścia na cnotę, tj. na charakter.

Podstawą etyki wszech ludów jest zdanie, wrzekomo oparte na doświadczeniu, że dobremu dobrze się wiedzie, złemu zaś źle. Przeciw tej wierze w sprawiedliwość porządku świata występuje pesymizm, twierdząc, że się rzecz ma wprost przeciwnie. Podstęp i gwałt są środkami do wyniesienia się. Tego uczy owa niemiecka epopeja lisia *(Reinecke Fuchs)*, którą Goethe nazwał biblią świecką: lew i lis, przedstawiciele gwałtu i podstępu, zawsze są górą; uczciwy baran zaś, niewinny zając, prostoduszny niedźwiedź i wilk, mało z podstępami obeznany, biorą baty i giną. Nowy testament zaś wcale nie odbiega od tych poglądów: uczy on, że sprawiedliwy właśnie dla sprawiedliwości i prawdy cierpieć musi. Po której stronie prawda? Czy poglądy te nie znoszą się wzajemnie? Paulsen stara się je pogodzić. Nie może on zaprzeczyć, że istotnie dobremu nie zawsze dobrze się wiedzie. Widzimy, że ludzie, żyjący rozumnie i z umiarkowaniem, wpadają w choroby, podczas gdy inni, żyjący bez opamiętania, cieszą się zdrowiem niezmąconem. Widzimy ludzi rzetelnych i pracowitych, którzy giną z głodu, podczas gdy podli nieuczciwą drogą dochodzą do majątków. Szczerość ściąga nienawiść ludzi wpływowych, pochlebstwo zyskuje łaski. Lecz właśnie okoliczność, że podobne fakty budzą powszechną uwagę i oburzenie, zdaje się przemawiać za tem, że nie stanowią one reguły, jeno wyjątek. A wyjątek potwierdza regułę, która twierdzi, że uczciwa praca jest lepszą drogą do powodzenia materyalnego, aniżeli oszustwo; że postępowanie szczere i otwarte budzi więcej zaufania i przyjaźni, aniżeli kłamstwo i podstęp; słowem, że cnotą ludzi zdobywamy, podłością odpychamy. Nadto zaś zważyć należy, że dla tego, co przejął się cnotą i dobrą wolą, czynienie dobrze jest zawsze uszczęśliwiające. W tym duchu powiedział Spinoza: beatitudo non praemium virtutis, sed ipsa virtus. (Błogość nie jest nagrodą cnoty, lecz samą cnotą). Tego zaś, co czyni dobrze nie wskutek popędu wewnętrznego, lecz z bojaźni i z obliczenia, istotnie nieraz spotkać może zawód, gdyż nie zawsze doczeka się on owego zewnętrznego powodzenia, którego się spodziewał po wstrzemięźliwości, uczciwości lub dobroczynności; wówczas to wydaje mu się cnota niepewnym środkiem do osiągnięcia szczęścia.

Lecz zobaczmy teraz, w jaki sposób oddziaływa szczęście, zdobyte cnotą, na charaktery. Oto spotykamy się z drugą prawdą fundamentalną, zawartą w nauce moralnej wszech ludów: że w szczęściu tkwi niebezpieczeństwo dla charakteru, a następnie dla samego szczęścia. Niezwykły jedynie zasób zdrowego rozsądku uzdolnia człowieka do znoszenia szczęścia. Życiorysy zazwyczaj przestają być ciekawe w chwili, w której bohater, pokonawszy szereg przeszkód i trudności dzięki cnotom, dochodzi do celu swego i do szczęścia: życie w bogactwach i w uznaniu powszechnem nie służy jego charakterowi. Podobnie jak jednostkom, wiedzie się i istotom zbiorowym: narodom, stanom, stronnictwom, kościołom. Nie nieszczęście, lecz szczęście je łamie. Tracą one wówczas karność, krytykę samych siebie. W miarę, jak wzrasta powaga zewnętrzna, upada wartość wewnętrzna, aż przyjdzie katastrofa. Z nią następuje zwrot, który zwłaszcza w dziejach kościołów zaznacza się silnie. Prześladowany i pogardzany, kościół skupia się wewnętrznie, nabiera znów pokory, bohaterstwa, ofiarności; zdobywa sobie serca ludzkie. A potem koło na nowo się rozpoczyna: kościół znowu stał się potęgą, znowu zbliżają się doń potęgi świeckie, zmuszone liczyć się z nim, gdyż może oddawać zasługi. Oddaje przysługi żądane i przyjmuje w zamian inne. Wyposaża go w dochody i zaszczyty, może on rozporządzać synekurami i stanowiskami wybitnemi. Wówczas ludzie zręczni, pożądliwi, świeccy i wysoko urodzeni ofiarowywują mu swe siły i chcą służyć. Kościół przyjmuje ich i znowu upada.

Podczas gdy szczęście psuje, nieszczęście kształci. Hartuje ono wolę, dodaje elastyczności, cierpliwości do znoszenia tego, co usunąć się nie da; czyni ono człowieka skromnym w pretensyach i pobłażliwym w osądzaniu innych. Nieszczęście ludzi kojarzy, czyniąc ich zgodnymi, sprawiedliwymi, tolerancyjnymi.

Uwzględniając zaś wpływ szczęścia i nieszczęścia na człowieka, powiedzieć można, że życie rzeczywiste, złożone z dobrych i złych czasów, z cierpień i radości, zastosowane jest do potrzeb natury ludzkiej. Nieraz już jednostki i ludy, przebywszy czasy poniżenia, prześladowania i nędzy, w późniejszych okresach z dumą i wdzięcznością o nich wspominały.

Adalbert Chamisso, poeta niemiecki, odpowiedział na żale pesymistów w poemacie „Die Kreuzschau.“ Człowieka, żalącego się na ciężar swego krzyża, wiodą do sali, w której leżą krzyże wszystkich innych ludzi. Pozwalają mu obrać sobie którykolwiek. Probuje jednego po drugim, każdy wydaje mu się za ciężki. Wreszcie, obszedłszy dokoła, znajduje krzyż, który stosunkowo jest najlżejszy. Lecz — o dziwo! — przypatrzywszy mu się bliżej, przekonywa się, że to jego własny.

Są ludzie, którzy wyobrażają sobie świat lepszy od ziemskiego i sądzą, że nasz „nie udał się.“ Gdyby dano im możność urzeczywistnienia wymarzonego świata i pożycia w nim przez czas jakiś, przekonaliby się znowu, że w świecie rzeczywistym przecież jakoś było znośniej. Niejeden już, zgorszony stosunkami ojczyzny, opuścił ją i gdzieś za morzem szukał wyższej sprawiedliwości. Usposobienie to niebawem zmieniło się. Być może, że gdyby pesymiści przenieśli się na inną planetę, wspominaliby o ziemi nie bez tęsknoty i żalu.

Ladawa.

KAPITALIZM A DZIENNIKARSTWO.

II.

Miesięczniki były niegdyś ulubioną formą dziennikarskiego oddziaływania na społeczeństwo ze strony umysłów poważniejszych. Było to rzeczą dobrą, póki zdobycie pieniędzy nie wymagało ruchów gwałtownych, nie stwarzało rozdrażnienia nerwowego i życia dniem bieżącym, słowem póki taniec Interesu był ze staroświecka poważnie flegmatycznym. Obywatel wiejski do ostatnich czasów przedstawiał u nas dość żywo tę ubiegłą już na Zachodzie fazę korowodu kapitalistycznego. Dzień po dniu upływał w tej samej jednostajności. Wyciskanie nadwartości z zahukanych lecz wyższych niż życzyłby sobie tego ideał ślimactwa Maćków odbywało się, luźnie splecione z drganiami międzynarodowego rynku wymiennego, a nadto w niektóre pory roku pozostawiało pracojemcom mnóstwo wolnego czasu. Życie nie nagliło. Człowiek jadł powoli, smakował każdy kąsek. Czytał też w podobny sposób i rozprawiał dużo o przeczytanem. Z politykomanii naszego szlachcica usiłowano zrobić jakąś szczególną cechę rasową, tymczasem była ona jedynie odbiciem się w duszy ludzkiej szczególnie ukształtowanego systemu wymienno-towarowego. Otóż w takiej fazie orgii kapitalistycznej, w społeczeństwach zamożnych lub ludnych zrodziły się miesięczniki. Rozkoszowano się sążnistymi artykułami, w sposób pedantycznie akademicki roz-

prawiającymi o zdarzeniu w dwa lata po niem. Jeśli organ był prowadzony nie przez chodzące pergaminy bez temperamentu, lecz przez ludzi żywego czynu i szerokiego umysłu, wtedy zjawiały się obszerne prace teoretyczne. Atoli w miarę tego jak ludzkość, porwana wirem kankana pieniężnego, zaczyna hasać zapamiętałej i gorączkowiej, strawa w rodzaju miesięcznika i wogóle wieloarkuszowa staje się coraz mniej kupowaną. Dzieje się z nią to samo, co z wszelkiem spożyciem w rozwiniętym ustroju towarowym. Czciciele Interesu opowiadają z przejęciem, że w wielkich ogniskach przemysłowych Ameryki północnej ludzie tak są zaprzątnięci wzajemnem okpiwaniem się, że, lubo inaczej, przecież wzorem ascetów średniowiecznych poddają swoje ciało katuszom. Jedzą obiad w restauracyi stojąc z pośpiechu, biegnące pociągi kolei żelaznej zamienili na kantor, a odpoczynek w domu na pisanie listów handlowych. Rasa anglosaska, która wyścig kapitalistyczny doprowadziła do krańcowego natężenia, stworzyła nawet nowe przykazanie, każąc człowiekowi pamiętać, że „czas — to pieniądz“ i że każda minuta, niezużytkowana na geszeft, jest cząstką wieczności, rzuconą w nicość. Powolne jedzenie, połączone z gastronomicznem smakowaniem, stało się przywilejem nielicznych dynastów Mamony lub przyjemnością, zachowaną na wyjątkowo uroczyste dnie życia.

Równie pospiesznie wiek nerwowy pochłania strawę umysłową. Nauka, krytyka, powieść, słowem wszystko winno się było przystosować do wzrastającego tempa pląsów Pieniądza. Tygodniki, a tem bardziej miesięczniki lub książki poważne schodzą na plan drugi, gazeta z broszurą obejmują panowanie. Jeżeli, jako pomniki lepszej przeszłości, wytrwały tu i owdzie miesięczniki przy życiu, są one prenumerowane, lecz rzadko czytane, chyba że zamieniły się w czasopisma specyalne. Jeszcze częściej istnieją one bez prenumeratorów, utrzymując się dzięki łasce możnowładców kapitalistycznych, którzy zaoszczędziwszy sporo grosza chociażby z nieopłacania robotnic, zaczynają, w braku możności kupienia wstążeczki legii honorowej, uganiać się za tytułem filantropa lub mecenasa literatury narodowej. Zwykle na żołdzie takim i pod przeraźliwym hałasem gorączki Interesu, staroakademickie pisma, nieruchliwe jak wszelka skamieniałość, nabierają zwolna szczególnego charakteru, o którym powzięlibyśmy niejakie wyobrażenie, gdybyśmy zoczyli siwą i poważną matronę, tańczącą w staromodnym salonie z podkasaną suknią i wyzywającą miną. Rozwinięta gorączka Złota stawia literaturze szczególne wymagania. Artykuły winny być krótkie, treściwe, lekko napisane. Zrozumiemy to łatwo, jeżeli przypomnimy sobie, że w takich ogniskach, jak Paryż, stałe prenumerowanie pism jest rzeczą nieznaną, a gazety i nawet miesięczniki kupuje się numerami pojedynczymi. Nadto, ponieważ pismem kieruje przedsiębiorca-kapitalista, po za przedmiotowem zdaniem sprawy unika się wypowiadania sądów, o których nie wiadomo z góry, że podobają się czytelnikom. Wraz z taką zmianą w trybie czytania i technice pisarskiej, oblicze literata ulega przeistoczeniu. Zamiast Millów i Carlyle'ów z okresu miesięczników występują teraz szczególnego rodzaju reporterzy — naukowi, literaccy itd. Winni oni prędko a w sposób krótki i wyczerpujący zaznajomić czytelnika z tem wszystkiem, co wre w sercach i umysłach. Rozumie się, nie krótkość i prędkość są przekleństwem, ciążącem na prasie peryodycznej, lecz sposób zadośćuczynienia tym wymaganiom. Takie podawanie strawy byle jak przyprawionej, lecz natychmiastowo, zaspokaja pewną potrzebę naglącą świata burżuazyjnego. Mianowicie blaga wszechstronności jest nieodłączną od rozwiniętego typu mieszczańskiego. Czystej wody erudyta staroczesny był mniej naszpikowany nazwiskami i obładowany datami, niż wykształcony burżua — pozorami wszechwiedztwa. Jest to jedna z cech jego duszy klasowej. Filozofujący blagier przedstawia postać, która ukazała się w dziejach myśli ludzkiej dopiero wtedy, kiedy inteligencya kraju przyznała w kapitalistycznej reklamie najpierwsze prawo przyrody i najważniejszy oręż w walce o byt, co więcej, kiedy nakazała białemu niedźwiedziowi podszywać się swoją szerścią pod śnieżny całun dla tej samej przyczyny, dla jakiej poczynający doktór bez grosza w kieszeni rozbija się powozem i mieszka w pierwszorzędnem miejscu. Naturalnie to poprzestające na pozorach łaknienie wiedzy nie pójdzie szukać nauki w pracach Maurera, Waitza lub Hegla, lecz obierze sobie reportera za mistrza i wymagać będzie odeń, aby systematycznie podawał mu papkę naukową, w której „ostatnie wyniki wiedzy“ pływałyby oblane dowcipem. Dobrze wychowana pociecha świata mieszczańskiego nie pyta, kto i jakim sposobem doszedł do majątku, lecz ile jest on wart funtów sterlingów (duch kapitalistyczny w Anglii tak wypowiada nasze określenie — ile kto ma majątku!). Również na polu nauki nie dba się, jaką drogą zdobyto pewne twierdzenie i wysnuto hipotezę, lecz jedynie, jak one brzmią. To jedno tylko obchodzi filozofującego blagiera z całego zasobu wiedzy.

Porządek kapitalistyczny powołał nadto do życia jeszcze inną postać. Nazwano wiek nasz okresem krytycyzmu. Istotnie, ludzkość cywilizowana ujrzała po raz pierwszy szczególnego rodzaju krytyków. Przedstawmy sobie styl, jeśli można błyszczący jak posadzka salonowa, a wykrochmalony jak mankiety złotego zdechlaka. Otóż pewna istota dwunożna, obdarzona takim stylem, a zwana szumnie „krytykiem,“ winna zabierać głos i wydawać wyroki, czy obraz jest piękny lub brzydki a twórca jego — uzdolniony, czy powieść pewna jest dostatecznie „realistyczną,“ a książka jakaś „postępową.“ Ów styl winien upstrzyć sobą tę bezmyślną gadaninę i zrobić ją łatwą do przełknięcia. Strawa ta jest przeznaczona dla innego blagiera „towarzystwa“ mieszczańskiego, już nie filozofującego, lecz pozującego na miłośnika sztuki. Nie wierząc w wyroby swojej głowy i podszepty własnych zmysłów, potrzebuje on posiadać pod ręką takiego *cicerone*, który podpowiadałby, kiedy na twarz winien mu wystąpić zachwyt, a kiedy uśmiech politowania. Otóż krytyk taki wraz z reporterem naukowym stanowią dzisiaj najpoważniejsze siły piśmiennictwa peryodycznego i w niem rozpanoszyły się na miejscu dawnych Millów (biorę te słowa w znaczeniu gatunkowem, przyczem nie idzie mi o przekonania, lecz o sumienność pracy literackiej). Winni oni pospieszać ze swojemi sprawozdaniami i wyrokami jaknajszybciej, podawać jo z dnia na dzień. Braknie im przeto czasu nieraz na najpowierzchowniejsze rozejrzenie się w przedmiocie. Zresztą nikt od nich nie żąda sumienności, filozofujący blagier bowiem i dusze estetyczne wymagają tylko „kilku“ słów, niekiedy jedynie tego, jak nazywa się „największy uczony“ i co należy mniemać o świeżej wystawie obrazów. Blaga staje się nieodłączną właściwością takiego towaru literackiego. Rozumie się, uczeni prasy peryodycznej, jej krytycy i estetycy na pewnym szczeblu spotykają się z czystej wody reporterem-plotkarzem. I wszystko, co jeszcze traciło lepszą przeszłością, tonie w tem samem bagnisku blagi, sprawozdania dorywczego, plotkarstwa. Nauka i krytyka, rzucone w wir dorywczości i powierzchowności reporterskiej, zaczynają uprawiać kult tych samych przenośni, obrazów i myśli, takich, które przemawiają do najniższych żądz ludzkich. Rozprawa o zamieszkałości planet rozpoczyna się pytaniem, czyżby jedynie glob ziemski miał to szczęście, że na nim wynaleziono flirtowanie. Tak mówi sprawozdawca „postępów nauki“ w poważnym niby a ilustrowanym tygodniku. „Krytyk estetyczny“ zapędza się jeszcze dalej i powoli zaczyna spełniać tę samą rolę, jak pieczeniarz patrycyuszowskiego Rzymu — nie ten, który roznosił nowiny, lecz inny, obowiązany rozweselać swego możnego karmiciela dowcipami na temat tego, co artysta pokrywał listkiem figowym.

Lecz cóż wobec tego porabiają te jednostki, które, pełne poczucia obowiązków społecznych, rzuciły się do dziennikarstwa, aby piórem walczyć przeciwko etyce wieprzów i widnokręgom codzienności filisterskiej? Czemuż nie rozpędzą oni tej zgrai kupczącej, frymarczącej, blagującej? Wkrótce poznamy powody niemocy, a jeszcze dalej cierniowy wieniec tych sekciarzy warcholstwa, jak z politowaniem mówią „rozsądni“ ludzie.

K. R. Żywicki.

NOWA ZDOBYCZ

W ZAKRESIE ELEKTROTECHNIKI.

Przyroda zawiera bardzo liczne źródła sił, które mogłyby być zużyte na wprawienie w ruch maszyn i inne cele, gdyby technika posiadała środki przenoszenia tych sił, a raczej wykonywanej przez nie pracy na znaczne odległości. Dotychczas jednak nie posiadano sposobów ku temu, a ogromne zasoby energii, zawarte np. w prądach rzek, wodospadach itd., znajdują dziś tylko miejscowe zastosowanie; użytek z nich jest tak nieznaczny w porównaniu z tem, co zdziałać zdolne, iż bez przesady rzec można, że większa część gotowych zapasów energii czynnej przepada, gdy tymczasem ludzkość, podobna w tem do niedbałego o przyszłość rozrzutnika, trwoni w kilka lat nagromadzone przez tysiącolecia zasoby energii potencyalnej, zawartej w węglu kamiennym, którego ilość jest ograniczona i którego w razie wyczerpania niczem zastąpić nie potrafi. Wobec takiego stanu rzeczy pojmiemy łatwo, jaką doniosłość posiadałoby wynalezienie sposobu przenoszenia bez znacznych strat energii czynnej, zawartej w rozmaitych źródłach naturalnych. Pierwszą pomyślną próbę tego rodzaju stanowi wykonane przed kilku tygodniami przeniesienie przy pomocy elektryczności siły 300 koni na odległość 175 kilometrów.

Praca mechaniczna, tj. energia ruchu mas, może być przekształcona na rozmaite formy energii cząsteczkowej, jak ciepło, elektryczność, światło itd. Tamując za pomocą tarcia ruch prędko obracającego się walca, wywiązujemy ciepło; siła, użyta na obracanie maszyny elektrycznej, wytwarza elektryczność itd. Z tych form energii elektryczność najlepiej nadaje się do przeniesienia na znaczne odległości. Ustawiając maszynę dynamoelektryczną w miejscu, gdzie znajduje się potężny bieg wody i wprawiając ją w ruch tym nurtem, otrzymamy elektryczność, którą przy pośrednictwie drutów możemy przenieść na dowolną odległość; jeśli teraz przepuścimy ten przeprowadzony do miejsca przeznaczenia prąd elektryczny przez cewki podobnej do pierwszej maszyny elektrycznej, zostanie ona w ruch wprawiona. Na pierwszej stacyi ruch mechaniczny zamienia się w elektryczność, na drugiej przekształca się elektryczność w ruch mechaniczny. Wszelako to pozornie proste przenoszenie siły napotyka w praktyce na wielkie trudności, polegające głównie na ogromnej stracie energii wskutek oporu przewodników. Ażeby wyjaśnić charakter tych trudności, oraz sposób, w jaki przezwyciężone zostały, powinniśmy wyjaśnić stosunek, istniejący pomiędzy siłami rozmaitego napięcia a wykonaną przez nie pracą.

Przypuśćmy, że mamy na celu podnieść ciężar 10-ciu kilogramów (około 25 funt.) na wysokość 100 metrów. Cel ten osiągnąć możemy w sposób rozmaity: możemy np. obliczyć taki nabój prochu lub innego materyału wybuchowego, który przy odpowiedniem urządzeniu podrzuci ciężar dany na żądaną wysokość; możemy wnieść go na plecach po schodach lub wciągnąć za pomocą bloku. W jednym i drugim wypadku skutek osiągnięty będzie ten sam; powiadamy, że w obu razach wykonaliśmy tę samą pracę. Tylko w pierwszym praca wykonana była bardzo szybko, w drugim—powoli; w pierwszym mieliśmy do czynienia z siłą wielkiego napięcia, lecz krótkotrwałą; w drugim z siłą o małem względnie napięciu, lecz trwającą przez czas dłuższy. Widzimy z tego przykładu, że zwyczajna siła człowieka może wykonać tę samą pracę, co i siła zawarta w dobrym naboju prochu; ale różnica w czasie będzie bardzo wielka. Istotnie, olbrzymie efekty, osiągane przez rozmaite materyały wybuchowe dlatego uderzają tak wyobraźnię naszą, że znaczna ilość pracy skupia się tu w bardzo krótkim czasie; nie należy się jednak łudzić co do ogromnej ilości zawartej w nich energii. Odpowiednio do potrzeby technicznej możemy używać jednej lub drugiej formy siły: w niektórych wypadkach dogodniej mieć ogromną ilość energii chwilowo wywiązanej, w innych — siły słabego napięcia, ale długotrwałej. Efekt techniczny może być bardzo odmienny, a przytem ilość pracy może być jednakowa. Gdybyśmy w poprzednim przykładzie zamiast ciężaru 10 kilog. wzięli 100, to, stosując ten sam nabój prochu, moglibyśmy podrzucić ciężar tylko na 10 metrów. Praca będzie ta sama — czy 10 kilo podniesiemy na wysokość 100 metrów, czyli 100 kilo na wysokość 10 metrów; wyraża się ona iloczynem z wysokości przez ciężar, a więc będzie w obu razach 1,000; ale czego? — 1,000 jednostek pracy, czyli kilogramo-metrów. To połączenie dwóch jednostek pierwotnych w nową złożoną wykazuje, że w ocenie ilości pracy nie mają znaczenia względne wielkości ciężaru lub wysokości, ale tylko ich iloczyn. Widzieliśmy, że przy ocenie pracy wykonanej przez jakiekolwiek źródło siły (np. wydajność maszyny) należy uwzględniać i czas, w którym praca była wykonana, albowiem słaba siła, działając w ciągu długiego czasu, może wykonać tę samą pracę, co wielka, w krótkim czasie. Siła, która wykonywa pracę 75 kilogramometrów na 1 sekundę, nazywa się siłą konia parowego. W wypadku elektryczności mamy również do czynienia z siłami wielkiego i małego napięcia. Tak elektryczność, powstająca w zwyczajnej maszynie z kołem szklanem, posiada wielkie napięcie; przeciwnie prąd baterYi galwanicznej ma zwykle słabe. W maszynach elektromagnetycznych możemy otrzymać bądź prąd o wielkiem napięciu a słabej sile, używając cewki z licznymi zwojami cienkiego drutu, bądź przeciwnie prąd o słabem napięciu a wielkiej sile — jeśli użyjemy drutu grubego o nielicznych zwojach. Siłą prądu nazywa się ilość elektryczności, przepływająca w ciągu 1 sekundy przez przecięcie poprzeczne przewodnika, a za miarę jej służy *ampere*. Prąd elektryczny może powstać tylko między dwoma punktami, w których napięcie jest rozmaite, czyli — jak mówią — posiadającemi różnicę potencyałów. Jednostką, którą mierzy się ta różnica, jest *volt*. Jest to siła elektrometryczna nieco mniejsza od tej, jaką daje jeden element Daniela. Ilość elektryczności, przepływająca w ciągu 1-ej sekundy przy różnicy potencyałów, równej jednemu *voltowi*, nazywa się *ampèrem*. Mamy tu zupełną analogię z prądem wody w rurce łączącej dwa naczynia, w których poziom wody jest rozmaity: im większa jest różnica poziomów, tem większa siła, z którą woda przepływa, tem więcej jej przepłynie w jednostce czasu przez przecięcie poprzeczne rurki. Różnicy poziomów odpowiada różnica potencyałów, sile prądu wody — siła prądu elektrycznego.

Przy prowadzeniu elektryczności na odległość strata jest tem mniejsza, przy stałej grubości przewodnika, im większe jest napięcie. Tak prowadząc przez ten sam drut raz prąd posiadający 2,000 *volt* napięcia, a 10 *ampèrów* siły, drugi raz prąd o 200 *voltach* napięcia a 1,000 *ampèrów* siły, otrzymalibyśmy w drugim wypadku stratę 10,000 razy większą, niż w pierwszym. Praca zaś, którą wykonałby w miejscu każdy z tych prądów, jest jednakowa, za miarę jej bowiem służy iloczyn z napięcia prądu przez siłę; w obu wypadkach iloczyn ten wynosiłby 200,000 jednostek złożonych — *voltamperów*, co równa się prawie wydajności 300 koni parowych.

Przy przenoszeniu więc siły na wielką odległość idzie przedewszystkiem o to, aby użyć do przenoszenia prądu o wielkiem napięciu i słabej sile. W doświadczeniu, wykonanem w Lauffen nad Nekarem, użyte były maszyny elektromagnetyczne ozmiennym kierunku prądu, wprawione w ruch biegiem wody. Energia prądu wodnego zamieniała się w nich na elektryczny o 100 *voltach* napięcia i 2,000 *ampèrów* siły; prąd ten przechodził przez transformator, w którym zamieniał się na inny, posiadający tylko 8 *ampèrów* siły, natomiast 25,000 *volt* napięcia. Otrzymany w ten sposób prąd bardzo wysokiego napięcia prowadzono za pomocą 3 drutów miedzianych, grubości 4 milimetrów, przez Heilbronn, Eberbach, Hanau do Frankfurtu nad Menem. Na całej odległości, wynoszącej 175 kilometrów, prąd stracił tylko 12% napięcia, które wynosiło we Frankfurcie 22,000 *volt* przy tej samej sile 8-iu *ampèrów*. Tam transformator zamieniał go ponownie w prąd o 100 *voltach* napięcia i 1,707 *ampèrach* siły, który to ostatni prąd o wielkiej sile i niewielkiem napięciu zastosowany być mógł do ruchu maszyn i oświetlenia w lampach elektrycznych. Cała strata przy przeniesieniu wynosiła 25%; z 300 koni otrzymanych w Lauffen, zużytkowanych być mogło we Frankfurcie 216. Stratę tę możemy śmiało nazwać nieznaczną, jeśli weźmiemy pod uwagę, że źródło siły nic tu nie kosztuje, oraz że przy użyciu do wprawiania maszyn w ruch węgla można przy najlepszym systemie opału zużytkować nie więcej nad 75% zawartej w niem energii potencyalnej w postaci ciepła; przy zamianie zaś tego ciepła na ruch mechaniczny w najdoskonalszej maszynie parowej może być zużytkowane zaledwie 45% tych 75 odsetek energii. Trudności techniczne przedstawiało prowadzenie prądu o tak wysokiem napięciu: dotknięcie do dwóch drutów przewodnika mogło spowodować śmierć piorunową. Druty więc umieszczono na bardzo wysokich słupach; potrzebne były prócz tego szczególne izolatory olejowe, w których druty odosobniały się od ziemi za pomocą kilku warstw oliwy. Należało również zapobiedz możności zetknięcia się z sobą drutów, co mogłoby wywołać tak silny prąd, że przewodniki i maszyny zostałyby zniszczone.

Wszystkie te trudności zostały szczęśliwie przezwyciężone. Pierwsza prób prowadzenia siły na znaczną odległość wypadła pomyślnie, torując drogę dalszym, a zarazem otwierając na przyszłość widoki racyonalniejszej gospodarki wśród obfitych zasobów nietkniętych dotąd prawie sił przyrody.

Wł. K.

RUDOLF VIRCHOW.

Tuż po uroczystym obchodzie siedemdziesiątej rocznicy urodzin Helmholtza, musiano przenieść cały aparat jubileuszowy przed dom drugiego świecznika dzisiejszej wiedzy niemieckiej, Virchowa.

Rudolf Virchow jest nietylko gienialnym przyrodnikiem, lecz i politykiem. Przedstawia on jedną z najpopularniejszych postaci w naukowym świecie Europy, gdyż brał udział we wszystkich lekarskich, antropologicznych i hygienicznych kongresach ostatnich dziesięciolеci, przyczem uczeni wszystkich narodów stykali się z nim osobiście. W ostatnich latach użalano się nawet na zbytnią gadatliwość tego starca, promieniejącego zadowoleniem.

Lecz przywary wieku sędziwego nie są właściwą miarą dla tego człowieka, który dokonał czynów przełomowych na polu umiejętności lekarskiej.

Ażeby zrozumieć zasługi Virchowa, przenieść się musimy w atmosferę umysłową, z której wyrosło nasze pokolenie. To, z czem on wystąpił, dla nas jest tak zrozumiałe i naturalne, jak fakt istnienia Ameryki lub obrót ziemi około słońca, których przodkowie i współcześni Kolumba i Kopernika wyobrazić sobie nie mogli.

Kiedy Virchow kończył swe studya, wiedeńska szkoła medyczna stała na czele ruchu postępowego w tej dziedzinie. Karol Rokitańsky stworzył naukę anatomii patologicznej, a Virchow, uczeń jego, ogłosił ocenę jego klasycznego dzieła. Podniósłszy właściwą zasługę Rokitańskiego, polegającą na odgraniczeniu i usamoistnieniu nowej umiejętności, zwrócił się przeciw zasadniczym jego poglądom, zaczerpniętym z dawnej szkoły. Potępił teoryę o „złych sokach,“ wytwarzających chorobę, i o „dobrych sokach,“ którym zawdzięczać mamy zdrowie; przepowiadając, że patologia oprze się na innych zupełnie podstawach. Do spełnienia tej wróżby przyczynił się sam najbardziej, stwarzając naukę patologii komórek. Zdrowie i choroba biorą swój początek w czynności owych milionów komórek, z których składa się ciało nasze. Prawda ta, do której dziś zupełnie jesteśmy przyzwyczajeni, wystąpiwszy po raz pierwszy na polu badań medycznych, wywołać musiała rewolucyę. Virchow sam we wszystkich późniejszych swych pracach opiera się na teoryi komórek, z której patologii doniosłe wyniknęły następstwa. Dzięki raz poznanemu procesowi ich wędrówki, zdołał Virchow objaśnić fakt powstawania nowych ognisk patologicznych po infekcyach (zarażeniach) lub zapaleniach miejscowych. Patologia komórek dopiero rzuciła światło jaśniejsze na naturę wrzodów i opuchlin oraz na przyczyny i istotę anemii (bezkrwistości).

Tajemnicą naukowego powodzenia Virchowa, a zarazem cechą jego umysłu jest niezwykła zdolność pojmowania każdego szczegółu z wyższego, ogólnego punktu widzenia. Ma on zawsze przed oczyma całą przyrodę i jej prawa, a i ciało ludzkie nie przedstawia mu się jako spojenie organów, lecz jako całość. Na tem polega cała wyższość jego nad większością badaczów współczesnych, którzy pod wpływem podziału pracy i specyalizacyi stracili związek wewnętrzny z ogółem nauk przyrodniczych. Virchow, jako umysł pierwszorzędny, nie zadowolił się tryumfami na polu patologii, lecz zajmował się z niemniejszem powodzeniem antropologią, hygieną, etnologią i archeologią. Zwłaszcza hygiena zawdzięcza mu bardzo wiele. On to jako członek deputacyi miejskiej w Berlinie przeprowadził wzorowy system oczyszczania miasta, podniósł zdrowotność szkół, szpitali i sprawę dezinfekcyi, a na kongresach pobudzał dzisiejsze pokolenie lekarzy do podobnej działalności. Słusznie wyraża się o nim Dubois-Reymond: „Przez lat pięćdziesiąt pracował na polu nieprzejrzanem z niewyczerpaną płodnością i żywnością, badając, stwierdzając, przeglądając, poprawiając, uogólniając; imię jego łączy się z niezliczonemi obserwacyami, doświadczeniami i myślami teoretycznemi.“

Obok działalności teoretycznej, spełniał i spełnia dotychczas obowiązki profesora

i redaguje słynny „Archiv fur pathologische Anatomie und klinische Medizin.“

Niemniej zajmującą postacią jest Virchow jako mąż stanu. Tu dopiero poznajemy, że nie należy on do owych rybich, bezkrwistych uczonych, lecz że jest człowiekiem pełnym temperamentu. Nie poniżał się nigdy do kłamstw politycznych, walczył zawsze w obronie sprawiedliwości i postępu. Z góry można było przewidzieć, że natura tak czysta musi w polityce zetrzeć się z Bismarkiem, który był typowym przedstawicielem obłudy. To też w pierwszych czasach wytworzył się osobisty niemal między nimi antagonizm, który doprowadził nawet do wyzwania na pojedynek. Wówczas żaden z przeciwników Bismarka tak go nie drażnił, jak Virchow. Jako referent sprawy schlezwig-holsztyńskiej wyraził się on, że nie wie, co sądzić ma o prawdomówności prezydenta ministrów. Wtedy Bismark oświadczył, że Virchow użył zwrotu, który przenosi spór z dziedziny politycznej do prywatnej i że żądać będzie satysfakcyi. Lecz parlament zabronił Virchowowi przyjęcia wyzwania, gdyż w przeciwnym razie swoboda parlamentarna byłaby zbyt ukróconą. Virchow nie zmienił nigdy zdania swego o Bismarku, lecz walcząc z nim, jednocześnie nie wahał się być mu pomocnym, ile razy uważał to za słuszne. Nie był dość przebiegłym, aby zrozumieć lisią naturę i tendencyę tego człowieka, zwracającą się przeciw prawdziwemu postępowi i depczącemu prawa sprawiedliwości. Dlatego pomagał mu w przeprowadzeniu t. zw. ustaw majowych, które pojmował w świetle idealnej walki wolnej myśli z reakcyą i klerykalizmem; on też nadał tej walce apoteozujące miano „Kulturkampfu.“ Podobnie w sprawie szląskiej domagał się wyłącznie krzewienia ducha prawdziwej wolnomyślności i demokracyi, zalecając toleracyę dla żywiołu rodzimego. W chwili, w której przeniknął moralną przewrotność Bismarka, stał się znowu najniebezpieczniejszym jego przeciwnikiem.

Niedawno przypomniał się Virchow światu, występując z bezwzględną krytyką środka Kocha przeciw suchotom. I w tym wypadku, nie zważając, iż się naraża na zarzut zazdrości, oddał hołd przekonaniu swemu i prawdzie naukowej.

N.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Emil Faguet. *Politiques et moralistes du dixneuvième siècle.* Première serie. Paryż, 1891.

Faguet uważa krytykę swą za zupełnie niezależną. Jest to słuszne o tyle, iż nie hołduje on żadnym dogmatom literackim, nie należy do żadnej szkoły. Zdaniem jego nie ma formuł piękna, któreby mogły być zastosowano do wszystkich czasów, a wszelkie reguły sztuki wyrażają właściwie tylko pewne gusta i skłonności autorów. „Filozof — powiada on — nawet wielki, który wykłada swój system, jest tylko człowiekiem, który tłomaczy swój charakter, a być może temperament.“ A jednak Faguet nie jest impresyonistą. Zastrzega się często przeciw takiemu rozumieniu: sądzi on, iż krytyk powinien w zupełności oderwać się od samego siebie, jeżeli chce pojąć cudzą duszę. Ale przy tych warunkach każdy pisarz ma prawo rozpatrywać zjawiska literackie w sposób czysto swoisty. To nam objaśnia takie napozór dziwne fakty, iż rozpoczynając swą krytykę W. Hugo, Faguet zaleca gorąco dzieło, które dochodzi do wprost odwrotnych wniosków. Jeżeli jednak subjektywizm, tak pojmowany, może się pogodzić w kwestyach literackich z pewną niezależnością sądu, to w sprawach społecznych znika ona w zupełności. Faguetowi wydaje się, iż jest niezależnym od żadnego dogmatu religijnego lub politycznego. Rozbierając Voltaire'a, wyraził zdanie, iż czas już uwolnić sławę wielkiego pisarza od pewnych kompromitujących podziwów. „Książę ludzi dowcipnych stał się bogiem osłów“ — tak rozpoczyna swą krytykę, która w obozie liberalnym wywołała masę sarkań, ale zarazem zaszczycona została interdyktem ze strony jezuitów. Pomimo to jednak, jakeśmy widzieli na „Studyach liter. XVIII wieku,“ Faguet jest reakcyonistą najczystszej krwi, a i niezależność jego stanowi kwestyę mocno sporną. Najlepiej można to stwierdzić na „Politykach i moralistach XIX stulecia.“ Krytyk otwiera swą pracę dogmatem, iż pomiędzy wolnością a demokracyą istnieje sprzeczność wewnętrzna, głęboka. Pierwsza polega na tem — twierdzi autor — iż na pewnem stadyum cywilizacyi niemożliwem się staje, aby ludzie żyli wspólną myślą, wspólną wiarą, wspólnem wychowaniem. Sposób życia jednostki nie może być wówczas przez nikogo narzucony. Po długich walkach ludzie uznają nareszcie tę konieczność społeczną. Ogólnie mówiąc, można wyrazić tę tendencyę, jako dążność do wyzwolenia największej ilości czynów i postępków ludzkich z pod wszelkich rozkazów. W demokracyi jednak, jakkolwiek rozkazują wszyscy, ilość zjawisk, które podpadają pod panowanie prawa, wciąż wzrasta. Dwa te kierunki, powstałe jednocześnie, mają znajdować się w ciągłych zatargach i walkach. Widzimy, iż Faguet powtarza tu dogmat Spencera o sprzeczności między indywidualizmem jednostki a naciskiem państwa, chociażby ono było wyrazicielem masy. Oczywista rzecz, iż jest to tylko dogmat, chociażby dlatego, iż istnieją, a nawet panują dogmaty wprost odwrotnego charakteru, bądź co bądź zaś nie ulega wątpliwości, iż sprzeczność między jednostką a państwem była we Francyi daleko większa w przeszłem stuleciu, niż obecnie. Tolerancya — jak wiadomo — jest córką nie wiary, lecz zwątpienia. Z drugiej strony państwo, wprowadzając np. prawodawstwo fabryczne, formalnie tylko zmniejsza sumę wolności pomnożeniem praw, faktycznie jednak zwiększa ją, gdyż ogranicza możność wzajemnego wyzysku i ciemiężenia obywateli między sobą. Ten ostatni wzgląd Faguet zupełnie usuwa z widoku: mieszczańscy entuzyaści wolności podziwiają ją tylko wówczas, gdy ona pozwala wilkom pożerać jagnięta. Nic dziwnego, iż przy takich warunkach historya Francyi od 1815 do 1840 r. zawiera się dla naszego autora w wyżej wskazanej sprzeczności, którą ówcześni pisarze polityczni naprożno starali się rozstrzygnąć. Doktrynerzy z Guizotem na czele rozbili się o nią. „Arystokraci w głębi ducha, a zarazem moraliści, jakkolwiek bez etyki oryginalnej, kochali wolność bardziej, niż demokracyę... Ostatecznie znaleźli się w zatargu z wzrostem tej ostatniej; wszystkie ich nadzieje zostały zawiedzione, wszystkie ich rachuby oszukane.“ Dla nas tragizm położenia doktrynerów — Guizotów, B. Constantów, Royer Collard'ów — nie jest znowu tak straszny: ci rycerze wolnego wyzysku dotychczas są u steru, a chwilowa ich porażka w r. 1848 bez tonów Eschylosa się obejdzie.

Obok kwestyi politycznej występuje moralna. De Maistre i Bonald utożsamili ją z odbudowaniem starej religii. Ale próby te, zdaniem Fagueta, były chybione, gdyż miejsce wiary zajęła wiedza. Zresztą dziwną była ta ich wiara rozumowana. W swych racyonalistycznych systemach udzielali miejsca nadprzyrodzoności — przez grzeczność. Tak zwane odrodzenie religijne z r. 1820 jest dla autora czystem złudzeniem, co najwyżej tendencyą. W istotnej swej sile prąd ten wystąpi dopiero później, wraz z mistykami (od 1830 do 1848 r.) — autor obiecuje zbadać go dopiero w tomie następnym.

Jeżeli ogólne poglądy, a raczej dogmaty Fagueta nie są zawsze bez sporu, to natomiast charakterystyka pięciu wyżej wspomnianych pisarzy jest, jak zwykle u niego, głęboka i świetna.

De Maistre przedstawia się nam powszechnie w postaci surowego teokraty, nieprzejednanego legitymisty, apostoła monstrualnej trójcy papieża, króla i kata, zwolennika dogmatów ciasnych i nieubłaganych. Faguet znacznie wygładza ten obraz: np. jeden z członków powyższej trójcy, kat, ma w znacznym stopniu być tylko wyskokiem paradoksalnym *a la* Swift. De Maistre jest dobry z natury, nadzwyczaj inteligentny i dowcipny. Ten inkwizytor średniowieczny nie ma pruderyi. Mówiąc o okręcie z trudnością spuszczonym na morze, wyraża się: „robi tyle grymasów, jak wszystkie kobiety względem rzeczy, której najbardziej pragną.“ A szukając sekretarza, domaga się człowieka, który „wiedziałby przez żony tajemnice mężów.“ Umysł jego był w sprzeczności z charakterem. Był dobry, a utworzył system złośliwy. Pani de Stael wkładała wszystkie swe uczucia do swych myśli. De Maistre, który mawiał o niej, iż jest to najprzewrotniejsza głowa i najlepsze serce w świecie, starał się nie wpuszczać nic ze swego serca do głowy, w obawie podobnego skutku. Nieufność do uczucia wywołuje pogardę do zdrowego rozsądku, który zawiera wielką dozę uczucia — skąd się bierze u de Maistre'a chęć zwalczania zdań bieżących. W pismach swych stara się głównie o sprzeciwianie się czytelnikowi. Szuka skrzętnie miejsca, gdzie mógłby go najłatwiej urazić. W ten sposób objaśniają się jego stronice względem kata. Są obliczone na oburzenie. W jakim celu? Aby go nastraszyć, a raczej, aby mu wykazać pogardę. Umysły tego rodzaju, jak de Maistre, Voltaire, Montaigne, Pascal są pod tym względem straszne, iż nie sposób z nimi nawet po śmierci dyskutować; czujecie, iż parskają wam w nos śmiechem zamiast odpowiedzi. Skąd u de Maistre'a pasya do paradoksów, która nie jest tyle skłonnością umysłu, ile charakteru. Przesada jest kłamstwem ludzi uczciwych, a paradoks złośliwością ludzi dobrych. Gust ten jest jednak nadzwyczaj niebezpieczny: niektórzy przyjmują de Maistre'a za ateusza, inni za saint-simonistę. Niektórzy upatrują w de Maistre'rze poganina. Nietylko niepokoi, ale gorszy chrześcian. Nie ma u niego ani miłości, ani nawet wiary. Jest to strach i posłuszeństwo bierne. Nienawidzi indywidualizmu. Oto dowód: nie lubi greków, ludzi rozumu, geniuszu, dowcipu. Głupota jest kolektywna. De Maistre uwielbia ją. Jest to rzymianin z duszy i ciała, a raczej pretoryanin Watykanu. Rzecz zabawna, mając umysł paradoksalny być anachronizmem: świat i de Maistre nie byli z jednego wieku. Wogóle zaś jest on nieskończenie interesujący, przedstawia wcielenie opozycyi względem XVIII w. indywidualizmu, wolności myśli i sumienia, zwierzchnictwa ludowego, postępu rozumu. A tymczasem należy całym swym nastrojem duchowym do tego wieku, swym brakiem krytyki, zmysłu historycznego i artystycznego, istotnej religijności, swym dogmatyzmem i abstrakcyjnością systemu. Jest to Voltaire przenicowany.

(D. d.)
L. W.

T E A T R.

W. Shakespeare, *Jak się wam podoba.*

W tytule swej sielanki wielki mistrz rzucił niejako z grobu pytanie obecnej publiczności: jak się wam podoba ta stara, naiwnymi wzorami ozdobiona wstęga obrazów, kreślonych genialną ręką? Naturalnie podoba się ludziom, umiejącym oceniać

prawdziwe klejnoty twórczości artystycznej w najgorszej oprawie i posiadającym zmysł historyczny dla dostrzegania takich skarbów nawet pod pleśnią i kurzem. Ogół nie smakuje w „antykach“ literatury. On lubi wyroby *modernes*, świeże, błyszczące, chociażby bezmyślne, a na scenie — przedewszystkiem zajmującą „fabułę.“ Naturalnie gdyby Shakespeare żył między nami, z pewnością nie zbrakłoby mu konceptu do wysnucia ciekawych wątków; ale on żył kilkaset lat temu i musiał dogadzać gustowi swej epoki. Więc układał bajki proste, a czasem tak dziecinne, jak ta, którą świeżo odegrano. Trudno mówić poważnie o opowieści, w której np. zakochany rycerz nie poznaje ubóstwianej dziewicy, przebranej po męzku, chociaż ona każe mu się nazywać swem właściwem imieniem; trudno ściśle rozbierać sztukę, której bohaterowi autor kładzie na oczy czary złudzeń; jeżeli o czem mówić i co podziwiać trzeba — to przecudowne ciało na dziecinnym szkielecie. Dzieje postaci Shakespeare'a są zwykle niewymyślną banieluką, ale ich uczucia, myśli, słowa należą do najwspanialszych płodów geniuszu ludzkiego. W „Jak się wam podoba,“ jeszcze bardziej niż w innych utworach wielkiego pisarza, prawie wszyscy bohaterowie mają jeden wspólny język — niewyczerpany w porównaniach, błyskotliwy, dowcipny i jędrny; jest wszakże w jego bogactwie taka rozmaitość, że ona ani na chwilę nie nuży — znawców piękności poetycznych. Jeżeli tedy tylko lub głównie dla nich stara sielanka została wystawiona, czemu ją tak okrajano? Dzisiejszy reżyser jest niewątpliwie mądrzejszy w rozumieniu warunków scenicznych od Shakespeare'a, ale jeżeli sądzi, że go zapomocą tej operacyi zrobi *moderne*, to się bardzo myli. Takie dzieła albo trzeba odgrywać w możliwej zupełności, albo pozostawić je w książce.

W wykonaniu najbardziej zasłużone oklaski zebrali pp. Lüdowa (Rozalina), Prażmowski (Orlando), Frenkiel (błazen). Wystawa była ładna, reżyserya staranna. Muzyką dopełnił przedstawienia pan M. Hertz.

* * *

Repertuar operetkowy wzbogacił się *Wiceadmirałem* Millöckera. Jest to utwór zgrabny, wesoło melodyjny, w dowcipne pomysły sceniczne i muzykalne obfitujący. Fortepianom, katarynkom i śpiewom amatorskim dostarczać będzie długo lubianych melodyj.

* * *

W Teatrze Wielkim odegrano nareszcie słynną operę *Cavalleria rusticana* Mascagniego, będącą pierwszym, świetnym promieniem nowowschodzącej gwiazdy. O tym utworze pomówimy później.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z POZNAŃSKIEGO

17 października.

Wiec toruński. — Bank ziemski i jego działalność. — Zmiany we własności ziemskiej. — Wybory do sądów procedurowych. — Drobne wiadomości.

Nie jestem z zasady przeciwny wiecom, o ile one mogą pouczyć ogół szerszy o jakiemś służącem mu prawie, zainteresować go dla jakiejś ważniejszej sprawy, wywalczyć dlań jakieś przywileje; wtedy niech się odbywają jaknajczęściej i przy współudziale jaknajszerszych warstw ludności. Jeżeli atoli chodzi o takie przedmioty, które tyle dla społeczeństwa przyniosą korzyści, co śnieg, który pada na księżycu, to lepiej nie marnować czasu i zająć się czemś pożytecznem. Co naprzykład może obchodzić biednego chłopa poznańskiego lub szlązkiego „stosunek kościoła do państwa i niezależność ojca św. od władzy świeckiej,“ co „konieczność powrotu zakonów“? Czy może będzie miał on ową historyczną kurę codziennie w garnku lub może obrodzą mu znakomicie żyto i kartofle, gdy rzeczywiście ojciec św. wróci do władzy świeckiej, jak to uchwalili wiecownicy toruńscy, lub gdy długie sutanny i szerokie jezuickie kapelusze zawitają znowu do państwa niemieckiego? Czy może nie ma już niczego ważniejszego do narady nad takie rzeczy?

Wiem doskonale, co by mi na to odpowiedziało owych 300 księży, którzy w zgromadzeniu wzięli udział: „Nietylko ciałem żyć należy.“ Bardzo dobrze, ale powiedzcież mi, szanowni dobrodzieje, co życie duchowe człowieka zyskuje na tem, że papież będzie księciem świeckim, będzie zbierał podatki, utrzymywał żołnierzy itd.? Co przyjdzie duchowi ludzkiemu z tego, że najniegodziwszy i najbardziej znienawidzony z pomiędzy zakonów, jakie kiedykolwiek i w którejkolwiek religii istniały, zawita także i do Poznańskiego?

Mniejsza zresztą o to; społeczeństwo każde, nawet tak zacofane, jak nasze, zwolna pozna się na tych wszystkich kwestyach i będzie je umiało z należytego ocenić stanowiska, a wtenczas na podobnych wiecach, jak toruński, będą się bawić jeno archeologowie. Sprawy każdej religii są dla jej wyznawców święte i nienaruszalne, a nikomu nie wolno ich ani lekceważyć, ani z nich szydzić, nie należy ich jednak nigdy mieszać ani do polityki, ani też innych spraw świeckich.

W dziesięć dni po wiecu, tj. 9 października odbyło się walne zebranie akcyonaryuszów Banku ziemskiego; którego dyrekcya ogłosiła sprawozdanie ze swych czynności za rok ostatni z zamknięciem rachunków w d. 30 czerwca b. r. Ze sprawozdania tego można sobie wyrobić zdanie, że Bank stanął już na silnych podstawach, a co najważniejsza, uzyskał zaufanie, czyli wyrażając się po kupiecku, stał się „firmą solidną.“

Wnioski o regulacye hipoteczne, z korzyścią dla banku, znacznie się zmniejszyły w tym roku: ze 161 zpadły do 54. a na kapitał 461,367·08 marek, z czasem zaś będą one zupełnie usunięte, interesy bowiem parcelacyjne banku rosną z każdym dniem. Z chwilą zamknięcia rachunków zeszłorocznych było skończonych 8 interesów parcelacyjnych na obszarze 392,01·65 hektarów w cenie sprzedaży 364,821 marek. Do dnia 30 czerwca 1891 przybyło 10 interesów parcelacyjnych na obszarze 2,287,62·88 hektarów, a w cenie kupna 1,047,689 mar. Razem było d. 30 czerwca 1891 r. 24 interesów parcelacyjnych na obszarze 4655,22·81 hektarów w cenie kupna 2,426,245 mr. W skończonych parcelacyach na 13 majątkach było 1 lipca 1891 sprzedanych i nabywcom oddanych parcel 90 na obszarze 678,05·12 h., a w cenie marek 670,326. W pozostających w biegu 11 parcelacyach było 1 lipca 1891 roku sprzedanych i oddanych parcel 174, na obszarze 3009,23·88 h., a w cenie 1,450,414 mr. Na rok następny 1891/2 przechodzi do rozparcelowania 967,63·81 h. w cenie 305,506 mr. Razem tedy oddał bank nabywcom 264 parcel, a rachunek parcelacyi wykazuje 4655,22·82 h. w cenie 2,426,245 mr.

Walne zebranie uchwaliło dywidendę w wysokości 4%, a nadto odliczenie do zysków przyszłorocznych nadzwyczajnych rezerwę w kwocie 3,053 mr. Bank tedy wykazał aż nadto dowodnie, że prowadzi interes parcelacyi z zyskiem i że akcyonaryusze nie są wcale jakimiś dobroczyńcami nieokreślonymi, lecz korzystają w całej pełni z zysków i za swe kapitały otrzymują znaczny stosunkowo procent. Oby tylko zwiększał się kapitał bankowy, inaczej bowiem parcelacya sama przez się nie będzie rosnąć, lecz coraz bardziej się zmniejszać.

Skoro już jesteśmy przy sprawie kolonizacyi, nie możemy pominąć faktu, że wieś Lechlin, w pow. wągrowieckim, przeszła w ręce niemieckie, a Żabno na Kaszubach zakupił p. Różka od niemca p. Schmidta, dobra Łubowniczki dr. Władysław Szułdrzyński od niemca p. C. Malma.

W mieście już się trochę uspokojono po wyborach ławników do sądów procedurowych. Niemcy ponieśli przy tem fatalną klęskę, z koła pracobiorców bowiem nie przeszedł z nich ani jeden, a *Posener Zeitung* przewiduje z tego tytułu blizki koniec świata. Prasa nasza niewątpliwie głównie się do tego zwycięstwa przyczyniła, zachęcając wyborców do uczestnictwa. Zwycięstwo to jest o tyle ładniejsze, że niemcy przed wyborami ofiarowali nam kompromis, a mianowicie taki, aby na 36 ławników 35 z ich narodowości zostało ławnikami!

Na zakończenie kilka wiadomości drobniejszych. Oto robotnik *Andrzej Jędrzyjecki* z Dębodóry na własne żądanie otrzymał bardzo piękne nazwisko *Jeschke* i prawdopodobnie wkrótce zostanie baronem. Dalej, jeżeli kto z sz. czytelników posiada znajomych w Poznańskiem w Bogaju i Żoniu, Ławkach i Powiadaczu, Dąbrowie Kruchówku i Jastrzębowie, niech już nie pisuje do nich pod dawnym adresem Dwie pierwsze odtąd nazywają się *Wilhelmstreu*, dwie drugie *Hirschfelde*, dwie zaś ostatnie *Rosenau*. Wreszcie ostrzegam już z góry spadkobierców biednej wyrobnicy *Anny Żołnierkiewicz z domu Winieckiej*, zmarłej tego roku d. 11 września w Jastrzębowie pod Trzemesznem, by teraz już warowali swe prawa do spadku, gdyż za miesiąc lub dwa będzie za późno. Oto bowiem urzędnik stanu cywilnego, p. Lobenstein, zapisał w aktach swoich zmarłą jako Solmierkiewicz gob. Vinieci.

W Bochum wychodzi od 1 października b. r. tygodniowe pismo p. t. *Posłaniec katolicki* pod redakcyą ks. dr. Franciszka Lissa.

t. z.

LIBERUM VETO.

Mamon i jego władza nad światem. — Urąganie wszystkim potęgom. — Proces o unieważnienie testamentu Walewskiego. — Co opowiadają świadkowie. — Sugestya dokonywana nad konającym. — Świece według formy, ludzie według obyczajów. — Towarzystwo oczyszczania i sprzedaży spirytusu. — Odkrycia *Gazety losowań*. — Powód do balu.

Dzisiejszą cześć dla pieniędzy trudno już nazwać biblijnym tańcem wokoło złotego cielca. Jest to raczej potężna miłość, kult przeniknięty namiętnym fanatyzmem, pobożność modląca się na klęczkach z oczami rozpłomienionemi ogniem wewnętrznych wzruszeń. Nie ma w świecie ucywilizowanym przedmiotu, któryby był bardziej kochany, ceniony, upragniony. Zdaje się, że człowiek, rodząc się, wydaje pierwsze, a umierając, ostatnie westchnienie ku temu bożyszczu. Mamon chodzi po ziemi dumny, uśmiechnięty, tryumfujący, bo zapanował nad nią zupełnie. Jest to Jowisz Olimpu nowoczesnego. Jego berło — to piorun, jego łaska — to szczęście, jego gniew — to klątwa. Zbuntowani przeciw niemu Prometeusze nie budzą już współczucia lub podziwu, lecz śmiech. On rzeczywiście stwarza ludzi, on im nadaje znaczenie, on nosi w swym worku wszystkie ich cnoty i występki. Dla niego oni się kochają, nienawidzą, uwielbiają, mordują, tak, że gdybyś z tkaniny stosunków ludzkich wypruł pasma złote, zostałaby kanwa rzadka, ledwie trzymająca się, w której

gdzieniegdzie tylko śród oddalonych od siebie nici zgrzebnych barwiłyby się jedwabie serc czułych. Dziwić się tylko można, że te serca dostarczają jeszcze życiu swych oprzędów, na które Mamon patrzy z urąganiem, jak uragan na sieć pajęczą. Do tych bezsilnych odszczepieńców mówi on z szyderstwem: Jesteście jako świecące robaczki, którym się zdaje, że zaćmią słońce, jako kwiatki rosnące u stóp dębu, które sądzą, że on nagnie ku nim swój wierzchołek, ażeby się napawać ich wonią... Czy nie widzicie, że druzgocę olbrzymów, którzy sięgają głową nieba, że wydobywam z błota płazy i stawiam ich na piedestale, a tłumy natychmiast padają przed nimi na twarz korne i olśnione? Czy nie widzicie, że kogo ja ozłocę, ten staje się wielkim, mądrym, uczciwym, ubóstwianym? Jeżeli rzucę pokusę zacności — znieprawi się; jeżeli stanę przed zbrodniarzem i osypię go moimi darami — zapragnie cnoty. Do mnie zwracają się miliony błagalnych spojrzeń, biją miliony roztkliwionych serc, wyciągają się miliony rąk. Ja panem świata wszechwładnym i niepokonanym. Wskażcie mi w nim drugą siłę, któraby miała tylu czcicieli i poddanych, co pieniądz. Jest on osią życia ludzkiego, główną sprężyną jego ruchu, celem jego dążeń. Gdyby go większa odeń moc nagle usunęła z widoku, zadyszane, spocone, uznojone wyścigiem tłumy zatrzymałyby się nagle w swym biegu, powiodły naokoło oczami w zdumieniu i niepewności, co czynić mają. Pieniądz zginął — po cóż one żyć będą? Rubel, frank, gulden, funt szterling tkwi w nich jako źródło ruchu, który ich pcha, nie pozwala odpoczywać, każe się podlić, poświęcać, zdobywać na bohaterstwa i nikczemności — więc gdyby ta „siła rzutu“ przestała działać, ludzkość stanęłaby jak ocean fal nagle zamarzłych.

Wszystko to przypomina nam toczący się obecnie w warszawskim sądzie okręgowym proces o spadek po zmarłym zeszłego roku Walewskim. Czy jest między wami, czytelnicy, jeden, którego by nie odurzały straszne wyziewy, dobywające się z tej sprawy! Co do mnie, gdy czytam zeznania świadków, czuję jakąś duszącą woń gnijących uczuć, która jest najokropniejszą ze wszystkich woni. Z poza obłoku wstrętnych oparów wychyla się cynicznie uśmiechnięta twarz Mamona. Ten jego śmiech, te opary życia są tak przerażające, że chciałbyś przed nimi uciec... z człowieczego rodu i zawołać: przyjmijcie mnie do siebie wszelakie istoty, abym tylko nie należał do „panów stworzenia.“ Zapanujmy wszakże nad odrazą i pamiętajmy, że Bóg nie spuściłby na Sodomę siarczystego deszczu, gdyby w niej był pozostał jeden cnotliwy. A przecież są inni ludzie.

Pod obrazem tej ohydy sąd podpisze swym wyrokiem tytuł; tymczasem zaznaczymy główne rysy rostoczonego widoku. Kona człowiek bogaty. Już śmierć kładzie mu na oczy swe dłonie, umysł jego ogarniają mroki, rozświecone rzadkimi błyskami przytomności. Naokoło półtrupa uwijają się dalecy krewni, którzy usiłują wydobyć z niego na swą korzyść i umocować „ostatnią wolę.“ Przybywa rejent, który z chorym nie może się porozumieć, na korytarzu stoją gotowi świadkowie, a przy drzwiach jakiś tajemniczy brunet; interesowani wykonywają natarczywą suggestyę, która z zamierających ust wyciska dużo krwawej piany a mało słów, co chwila przychodzą niepożądani przez obecnych przyjaciele konającego, którzy zostają od niego usunięci, wreszcie z tych zabiegów rodzi się „podpisany“ własnoręcznie testament, obarczający instytucyę publiczną ciężarem wydawniczym, a zapewniający całe mienie jednemu z odleglejszych krewnych. Zaledwie ten dokument znalazł się w jego ręku— chory umiera.

Tak opowiadają świadkowie, z których jeden lokaj, zeznał, że pan jego niczego nie podpisywał, bo zesztywniałą ręką już władać nie mógł. Bądź przez nich powiadomieni, bądź sami obserwujący tę operacyę krewni nieboszczyka, których on wbrew dawnym swym zapewnieniom i zamiarom w obdarowaniu pominął, wystąpili ze skargą przed sąd, żądając unieważnienia testamentu. I oto dzięki temu protestowi mamy przed sobą obraz łakomych instynktów spadkobierczych i dobywania z konającego „ostatniej woli,“ która w nim zanikła wraz z świadomością. Marzyć czasem wolno. Więc przypuśćmy, że nagle w chwili zgonu bogacza przestał istnieć pieniądz. Odrazu stracilibyśmy wszystkich bohaterów tej tragikomedyi. Tylko na łożu leżałby starzec, otoczony gronkiem przyjaciół, którzy staraliby się złagodzić mu cierpienia śmierci. Nikt by go nie męczył, nie pytał o folwarki i kapitały, nie wmawiał mu i nie spisywał jego „ostatniej woli,“ nie byłoby rejenta, świadków, „bruneta z bródką,“ krewnych, który wynajęli sobie pokoik oboczny w szpitalu i wynieśli się nazajutrz po zgonie testatora — słowem scena przedstawiałaby się mniej dramatycznie, mniej barwnie i mniej potwornie.

Jakkolwiek główne postacie wspomnianego procesu nie mają nic wspólnego ze światem idei platońskich, nie myślę bynajmniej strawiać dla nich pręgierza. One nie stworzyły oryginalnie swoich czynów, powtórzyły tylko to, czego ich nauczyły obyczaje. Jak świat szeroki, wszędzie ludzie, paleni nieugaszonem pragnieniem zdobycia pieniędzy, oblegają bogatych krewniaków, wyłudzają od nich zapisy, wyzyskują dla siebie ich zamroczoną przytomność, niszczą lub podrabiają testamenty, a my tym operatorom podajemy ręce, ściskamy ich, szanujemy, kochamy, uwielbiamy i zasiadamy do ich uczt za pieniądze wydarte nieboszczykom, czasem ze szkodą sierot i biedaków. Na karanie takich postępków moralność nasza nie ma ani śliny, ani piętna. Wybacza je i rozgrzesza dobrotliwie. Tej grzesznej i wytwornej damie chodzi przedewszystkiem o formy. Jeżeli złodziej napadnie i obedrze kogoś na publicznej drodze lub wśliźnie mu się do domu, owa dama sinieje z gniewu; ale jeżeli „przyzwoity“ człowiek podstępną sprzedażą majątku zrzuci z hipoteki wierzycieli lub urządzi „poddawanie myślowe“ konającemu krewniakowi — ona tylko krzywi się niezadowolona lub uśmiecha pobłażliwie. Gdybyśmy chcieli, ażeby po nalaniu stearyny w formy walcowe, wyszły z nich świece ze ścianami trójkątnemi, nie byłoby to bardziej niedorzecznem, niż żądanie, ażeby w obyczajach tolerujących nadużycia wyrastali ludzie idealni. To też uważałbym za stracone słowa, moje wywody i waszą uwagę, zamierzywszy wysnutym ze świeżego procesu morałem poprawić jego bohaterów a tem mniej wszystkich grających podobne role. Tak naiwni nie bądźmy. Dopóki Mamon będzie najwyższem i najukochańszem bożyszczem ludzkości, dopóki pieniądz pozostanie jej cudotwórczym fetyszem, dopóki on wchłaniać będzie najsilniejsze jej uczucia— nie wymagajmy, ażeby ona dla niego nie dopuszczała się wszelkich nieprawości.

A czy on kiedykolwiek straci swą moc czarodziejską i zniknie, jak zniknęło tyle przed nim fetyszów? Nad niczem nie zawisła bardziej niezawodna znikomość. Przejdzie jeszcze długi szereg pokoleń, w uroczystej procesyi niosąc przed sobą złotego cielca i śpiewając na jego cześć pobożne hymny, ale kiedyś cisną go o ziemię i roztrącą. Nastąpi to wtedy, gdy nie będzie potrzebny.

Towarzystwo oczyszczania i sprzedaży spirytusu świeżo przedstawiło bilans z zatkanemi sztucznie dziurami, z łataniną, która tylko naiwnych w błąd wprowadzić może, z bezładem, nieszczerością i ciążeniem ku bankructwu. *Gazeta losowań*, która ściera blansze i róże z oblicza tej instytucyi, namalowała jej portret z ostatniej chwili, który, jeżeli jest prawdziwy, stanowi wizerunek okropny. Tak np. gdy nowy dyrektor handlowy, obejmując swoje stanowisko, prosił o sprawdzenie aktywów w naturze — odmówiono mu tego. Gdy zakwestyonował cyfrę 54,000 rs. *czystego zysku* za 5 miesięcy, zastępując ją 46,000 rs. *strat*, ułożono nowy bilans, w którym zysk skurczył się tylko do 3,000 rs. Gdy dyrektor i temu zaprzeczył, został zawieszony w urzędowaniu. Dlaczego nie wierzył księgom i domagał się sprawdzenia bilansu w naturze? Dlatego, że w zeszłorocznych znalazł fałsze (przychód np. z lipca włączono do rachunków czerwcowych, ażeby kasa lepiej wyglądała). „Może konie, utensylia i sprzęty — mówi *Gazeta* — szacowano po cenie kupna, chociaż wszystko to było już nieco zniszczone i zużyte, tak, że wypadało odpisać pewną kwotę na deteryoracyę? Bynajmniej. Nietylko nie nie odpisano, ale *dopisano* do pierwotnej wartości tych przedmiotów. Koń kupiony przed 3 laty za 30 rubli, figurował w wartości 40; platforma, nabyta za 100 rubli, oceniona była w bilansie na 130; słomianki (!) w cenie kupna $^3/_4$ kop., obciążały inwentarz na $1\frac{1}{2}$ kop., kilkadziesiąt funtów laku, kosztujących po 16 kop., zapisano do stanu czynnego w wartości 25 kop. za funt. Co zaś do zapasów okowity i wódek, to przyjęto ceny sprzedażne, a wódki w sklepach szacowano po cenach detalicznych, czyli o 20% wyższych, niż hurtowe. Kosztów sprzedaży nie uwzględniono. Że do nieruchomości dopisano kilka tysięcy rubli za dozorowanie i podobne koszty, które w każdem solidnem przedsiębiorstwie idą na rachunek wydatków bieżących — tego już kwestyonować nie chcemy.“

Jeżeli istotnie tak było i tak jest, to Towarzystwo oczyszczania i sprzedaży spirytusu ma najsłuszniejszy powód wyprawienia sobie balu w karnawale, tylko na litość niech nie wciąga do swej gospodarki kapitałów ludzi, którzy o niej nie wiedzą.

Poseł Prawdy.

Warszawskij Dniewnik pisze:

„Nieurodzaj, pociągający za sobą podwyżkę cen wszystkich produktów pierwszej potrzeby, ciężko daje się uczuć robotnikom fabrycznym, w których skromnym budżecie każda kopiejka ma znaczenie. Dlatego niepodobna nie pragnąć, ażeby właściciele fabryk przy obecnych ciężkich czasach traktowali jaknajoględniej potrzeby swoich robotników i ażeby bez nieodzownej konieczności nie zmniejszali im zarobku. Pamiętać należy, że pozbawiać ceny pracę, tj. skazywać robotników na powolną śmierć głodową, bez dostatecznych przyczyn, jedynie w chęci zysku, jest wielkim grzechem. A jednak z punktów fabrycznych kraju tutejszego nadchodzą smutne wiadomości to o zmniejszeniu liczby robotników w fabrykach, to o zniżeniu im płacy. Wypadki pierwszego rodzaju dają się tłomaczyć zmniejszeniem odbytu, skłonni jednak jesteśmy wierzyć, że wypadki zniżenia płacy zarobkowej nie zawsze dadzą się usprawiedliwić koniecznością i że przytem gra pewną rolę zwiększone zaofiarowanie rąk roboczych. Fabrykant poważny, oceniający położenie swoich robotników, nie będzie brał za byle co pozostających bez zajęcia i nie będzie wydalał swoich tylko dlatego, że im trzeba płacić nieco drożej; może tak robić tylko geszefciarz, żądny szybkich zysków. Przytaczając poniżej znane nam wypadki zmniejszenia płacy zarobkowej oraz ograniczenia liczby robotników, powstrzymujemy się od wniosków, o ile były uzasadnione przyczyny, które wywołały te środki. Dnia 1 września w fabryce cementu we wsi Grodziec, w pow. będzińskim, robotę opuściło 60 robotników z liczby 200, znajdujących się w fabryce, mianowicie skutkiem zmniejszenia płacy. Zarząd fabryki zapowiedział to zmniejszenie jeszcze w końcu lipca, robotnicy więc nie mogli występować z żadnemi pretensyami. W kilka dni jednak później bieda zmusiła tych nędzarzów znów przyjść do fabryki i prosić o robotę, byli więc przyjęci znowu, lecz za zmniejszoną płacę. W Częstochowie, w fabryce guzików per-

łowych Michała Grossmana w lecie r. b. również zmniejszono płacę robotników. Skutkiem tego z fabryki zwolniło się 20 robotników miejscowych, a Grossman sprowadził na ich [illegible]sce robotników z Austryi, którzy [illegible] się pracować za zmniejszoną płacę. [illegible]stochowskim [illegible] fabryce worków jutow[illegible] gminie Hu[illegible] ustały roboty w nocy, skutkiem czego [illegible]sunięto z fabryki przeszło 160 robotników. Zawieszanie robót, wywołane koniecznością, odbywało się stopniowo i nie sprowadzało żadnych nieporozumień: robotnicy, pochodzący z różnych wsi tejże gminy, rozeszli się spokojnie do swoich domów. Fakt ten przekonywa dobitnie, że fabrykantom daleko dogodniej mieć robotników z pośród mieszkańców miejscowych. Napływowi zaś nie mają się gdzie podziać w razie ograniczenia im roboty i dlatego przyciśnięci biedą, w ten lub w inny sposób wyrażają swoje niezadowolenie."

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Towarzystwa ubezpieczeń od ognia czynią starania, iżby ustanowiono stopień odpowiedzialności zdunów za nieprawidłowe urządzanie pieców, ponieważ statystyka wykazuje, iż 80% pożarów powstaje z tej przyczyny.

— Wobec ogłoszenia nowych przepisów o lichwie, odpowiednie instytucye rządowe przystąpiły do sporządzenia, na zasadzie wiadomości prywatnych, listy osób podejrzanych o zajmowanie się lichwą. Mają one posłużyć do natychmiastowego stosowania nacisku administracyjnego.

— Rzemieślnicy wrocławscy żądają ułatwień w dopuszczaniu pomocników rękodzielniczych z Królestwa.

— W Hiszpanii wybuchły zaburzenia włościan skutkiem nędzy.

— W nowych przepisach o polowaniu zastrzeżone są „świadectwa myśliwskie," wydawane przez władze administracyjne za opłatą 15—25 rs. Oznaczenie terminu otwarcia i zamknięcia polowania należy do gubernatorów. Między innemi prawo ma na względzie ochronę drobnych ptaków śpiewających.

— Ministeryum spraw wewnętrznych wydało rozporządzenie, aby wszelkie apteki rządowe szpitalne itd., znajdujące się pod zarządem felczerów, oddane były pod kontrolę farmaceutów.

— Wobec drożyzny artykułów spożywczych grono kobiet w Warszawie postanowiło wydawać gorącą herbatę i chleb ubogim.

— Po przekształceniu zarządu mierniczego wszystkie w nim posady będą powierzane wyłącznie osobom ze specyalnemi kwalifikacyami.

— Dr. Jasiński we Lwowie opracował projekt urządzenia więzień folwarczno-plantacyjnych.

Szkoły. Na przyszłym zjeździe lekarzy w Moskwie poruszona będzie sprawa ustanowienia oddzielnych stypendyów dla studentów, pragnących specyalnie traktować medycynę sądowo-policyjną.

— Z polecenia władzy zamknięto szkoły początkowe: 2 w Warszawie i 5 na prowincyi.

— W uniwersytecie warszawskim z początkiem bieżącego roku akademickiego przyjęto 225 studentów: na wydział lekarski 99, prawny 84, matematyczny 37, filologiczny 5. Nadto: na kursy farmaceutyczne 83. Żydów 52 podało prośby, przyjęto zaś tylko 22 (10%).

— Dla uczczenia 100-lecia Odesy utworzony będzie w r. 1894 wydział medyczny przy uniwersytecie miejscowym.

— W pierwszym dniu zaprowadzenia bezpłatnej nauki (1 września) w Londynie, zgłosiło się do szkółek elementarnych o 30 tysięcy dzieci więcej niż dawniej.

Zdrowie publiczne. Inżenier Kleiber przedstawił magistratowi warszawskiemu projekt kamery dezinfekcyjnej, w której przedmioty ludności ubogiej będą oczyszczane bezpłatnie. Zakład po latach 40-tu przechodzi na własność miasta.

— Wkrótce w Warszawie ma być wprowadzony dozór nad mleczarniami. Nabywca krowy obowiązany będzie przy kupnie żądać świadectwa władz gminnych lub policyjnych, iż bydlę nie pochodzi z miejsc dotkniętych zarazą i dokument ten zachować oraz zaopatrzyć się w drugi miejskiego lekarza weterynaryi. Lekarz będzie rewidował stan zdrowia i badał mleko w pracowni chemicznej.

— Rząd grecki nakazał, aby okręty płynące z portów syryjskich, zarażonych cholerą, poddawane były jednodniowej kwarantannie na wyspie Dilos.

Wiadomości administracyjne. Departament wyznań obcych wydał rozporządzenie, aby od 13 stycznia 1892 roku wszystkie księgi kościelne ewangelicko-luterańskie były pisane wyłącznie w języku ruskim.

Literatura i sztuka. Rozstrzygnięto konkurs „Lutni," ogłoszony na balladę. Przyznano tylko drugą nagrodę utworowi Or-Ota p. t. *Dzwon*.

— Naczelny prezes Szlązka, baron Seydewitz, skazany został przez trybunał administracyjny w Berlinie na poniesienie kosztów, powstałych z powodu zatwierdzenia przezeń decyzyi policyi raciborskiej, niepozwalającej w ostatniej chwili odegrać amatorom „Piosnki wujaszka" i „Łobzowian."

Konkursy. Stypendyum z zapisu Ciszewskiego po rozstrzygnięciu konkursu otrzymał rzeźbiarz Laszczka.

— Zapowiedziano rozpisanie konkursu na teatr lwowski.

Zjazdy. W Kolonii odbył się zjazd statystyków miejskich.

— W Hamburgu odbył się kongres niemieckich stowarzyszeń dobroczynnych i przeciwżebraczych.

— W Petersburgu odbędzie się czwarta sesya międzynarodowego kongresu kolejowego w r. 1892.

Nowy wulkan około wyspy Pantelerla o 98 kilometrów od Sycylii otworzył się z dna morskiego. Wybuchy jego bardzo silne.

Burze srogie nawiedziły Anglię w zeszłym tygodniu.

Kalendarz *Wieku* wyszedł z druku, jak zwykle, wyposażony obficie informacyami.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu F. K. w Siedl. Chociaż Pan z wielką stanowczością i rozmachem karci autora tego artykułu, zdaje nam się, że ani o tych ludziach, ani o ich działaniach nie ma Pan należytego wyobrażenia. Dotychczas świat im niczego nie zawdzięcza, a co Pan zapisuje do ich zasług, to się należy komu innemu.

Panu Horyn. Tyle razy i dość jasno wyrażaliśmy nasze zdania w tym przedmiocie, że nie powinny były Pana niepokoić te wątpliwości. Autor nie potępia tych związków w zasadzie, tylko pyta: czy one mogą wypełnić „nowe życie," a zawierane w lesie stanowić ideał?

Panu A. L. w T. Zamieścimy, skoro się znajdzie miejsce.

JJ. TT. Dr. Jan Stella Sawicki *Rady dla młodych mężatek*, Warszawa 1886.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Sprostowanie. W n-rze 41 *Prawdy*, str. 488 szpalta trzecia wiersz z dołu 31 i 36 wydrukowano: azułami, czytać „aułami"; — areł, czyt. „auł." Auł — wieś.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 11 Октября 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętocł